

ZE ŚWIATA

W czas olimpiady — w starożytności tradycyjnie czas pokoju — sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim ogłosił DOROCZNY RAPORT o działalności tej organizacji. Bardzo interesujący to i pouczający dokument.

Otwiera go generalna charakterystyka sytuacji światowej. W ostatnich trzech latach — podkreśla dokument — można dostrzec trzy główne tendencje: dwie zachęcające i jedną zniechęcającą. Do pierwszej grupy kwalifikują się: wyraźny postęp w procesie odprężenia między wielkimi mocarstwami oraz seria wysiłków społeczności międzynarodowej w tak istotnych dla rozwoju ludzkości kwestiach, jak handel, ochrona środowiska naturalnego i zagadnienia populacyjne. Do drugiej — trwanie konfliktów w niektórych kluczowych rejonach świata lub też utrzymywanie się groźby działań militarnych. Świat jest dziś zbyt współzależny i za gęsto zaludniony, aby konflikty w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie, jeśli wymienić tylko najważniejsze, traktować wyłącznie jako dotyczące bezpośrednio zainteresowanych stron.

Dokument podkreśla jednak, że ostatnio niektóre wrogie sobie społeczności, narody i państwa dążą do pogodzenia się i wymieniają jako pozytywne przykłady: układ między obu państwami niemieckimi o tranzyt, gotowość obu państw koreańskich do znormalizowania stosunków oraz układ w Simla między Indiami i Pakistanem. Nowe i pomyślne stosunki między wielkimi mocarstwami niewątpliwie wpływają dodatnio i mają swoje odbicie w innych stosunkach i sytuacjach.

Korzystnie odnotowując dotychczasowe porozumienia o ograniczeniu zbrojeń, a zwłaszcza porozumienie moskiewskie, Kurt Waldheim stwierdza, iż nie osiągnięto jeszcze zadeklarowanego celu, jakim jest całkowite i powszechne rozbrojenie. Odwrotnie — wysięg zbrojeń trwa i pochłania coraz wyższe sumy. I tak w dziesięciolecie lat sześćdziesiątych świat wydał na sprzęt wojenny 1.870 mld dolarów, podczas gdy w ostatnich latach ok. 200 mld dol. rocznie. Zwłaszcza kosztowne są zbrojenia nuklearne. Dlatego niezbędne jest uszczelnienie porozumienia o zakazie doświadczeń, a do czasu jego osiągnięcia należy moratorium na wszelkie próby jądrowe.

A jaką rolę we współczesnym świecie, w międzynarodowej atmosferze 1972 roku zajmuje ONZ?

Sekretarz generalny odpowiada na to pytanie następująco: w wysiłkach na rzecz rozwiązania długoterminowych problemów społecznych i gospodarczych rola ta jest kluczową, natomiast w dziedzinie politycznej jest mniej wyraźna. Ale obecna sytuacja jest pod wieloma względami zachęcająca.

„Narody Zjednoczone — czytamy w raporcie — stwarzają lub powinny stwarzać środki, przy pomocy których wszystkie narody — wielkie i małe — będą mogły uczestniczyć na zasadzie suwerennej równości w politycznym procesie tworzenia i utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa i będą mogły stawić czoła wspólnym problemom — poprzez współpracę oraz planowanie i organizowanie lepszej przyszłości. Poprawa stosunków między wielkimi mocarstwami, drogą dwustronną dyplomacją, ma niewątpliwie zasadnicze znaczenie dla tego procesu...”

Jest w tegorocznym raporcie także osobista refleksja nowego sekretarza na temat blasków i cieni jego funkcji. W ciągu 8 miesięcy pełnienia tej funkcji — pisze Waldheim — nauczyłem się wiele, zarówno jeśli chodzi o możliwości, jak i niedostatki naszej organizacji. O nieporozumienia w tej pracy nie trudno. Powstają one bądź w wyniku akcji, bądź bezczynności, a problemy są trudne i obciążają w nieoczekiwane frustracje. Mimo to lista osiągnięć w minionym roku nie jest mizerna.

Raport sekretarza generalnego ONZ zastępuje na uwagę nie tylko dlatego, że technicznie optymistyczny, ale również dlatego, że jest sugestywny.

A co godnego zainteresowania odnotować można na scenie europejskiej?

We FRANCJI trwają przygotowania do październikowej wizyty Edwarda Gierka. Obustronnie przywiązują się do niej duże znaczenie. Tradycyjne związki między Francją i Polską mają swoje silne wsparcie w dążeniu obu krajów do zapewnienia trwałego bezpieczeństwa w Europie oraz w zbliżeniu poglądów na niektóre problemy pozaeuropejskie. Również na płaszczyźnie bilateralnej stosunki układają się pomyślnie, a współpraca naukowo-techniczna i gospodarcza ma duże możliwości rozwoju. Oczekuje się więc, że paryskie rozmowy umocnią wzajemne stosunki.

W NIEMIECKIEJ REPUBLICE FEDERALNEJ padła już pierwsza zapowiedź rozwiązania parlamentu. W wywiadzie dla „Sueddeutsche Zeitung” Brandt zapowiedział, że postawi kwestię zaufania na forum Bundestagu pod koniec września lub na początku października. Tymczasem z kół opozycji dochodzą wieści, że CDU/CSU będzie chciała zgłosić wniosek w sprawie tzw. konstrukcyjnego wotum zaufania. Gdyby taki wniosek przeszedł (co nie jest prawdopodobne z powodu równowagi głosów), kanclerzem bez wyborów zostałby szef opozycji, a więc Barzel.

ISLANDIA, jak przewidziano w ub. tygodniu, stawia po rozszerzeniu przybrzeżnej strefy połowów kwestię wycofania wojsk obcych z wyspy. Islandzki min. spraw zagranicznych oświadczył właśnie, że Reykjavik ma nadzieję na rychłe rozmowy z USA na temat przyszłości wojskowej bazy NATO. Nie brak komentarzy, przewidujących, że członkostwo tego kraju w NATO staje pod znakiem zapytania, ponieważ Islandczycy są zdeterminowani i gotowi na wszystko.

W. SŁAWSKI

I września w całym kraju odbyły się uroczystości inauguracyjne 28 rok szkolny w Polsce Ludowej. Rozpoczęło naukę ponad siedem milionów młodych obywateli naszego kraju, pod opieką 300-tysięcznej rzeszy nauczycieli i wychowawców. Tym samym rozpoczął się nie tylko nowy rok szkolny, ale pierwszy etap kilkuletniej batalii o podniesienie poziomu nauczania i wychowania młodzieży. Zgodnie z postanowieniami VI Zjazdu PZPR zreformowano ministerstwo oświaty, wprowadzono w życie przyjętą z ogromną aprobatą przez pedagogów Kartę Praw i Obowiązków Nauczyciela, opracowano szczegółowy program działania na najbliższą przyszłość. Ogólnopolskie uroczystości inauguracji roku szkolnego 72/73 odbyły się w Brzozowie w woj. rzeszowskim, w nowo wybudowanym, nowoczesnym zespole szkół budowlanych. Uroczyste otwarcia dokonał minister Jerzy Kuberki, który wygłosił przemówienie do licznie zebranej młodzieży. „Zaczynamy pracę od pierwszego dnia — powiedział minister — nie stać nas na zmarnowanie choćby godziny”. To stwierdzenie ma swoją wymowę.

I września, w 33 rocznicę hitlerowskiej napaści na Polskę, jak co roku społeczeństwo polskie uczciło pamięć bohaterów poległych w obronie ojczyzny. Szczególnie uroczysty charakter miało składanie wieńców i kwiatów w Warszawie, która w wyniku agresji poniosła największe straty ze wszystkich naszych miast. Pod pomnikiem Bohaterów Warszawy — Nike zgromadzili się liczni mieszkańcy stolicy, przedstawiciele władz, wojska, organizacji kombatanckich i młodzieży. Podobne uroczystości odbyły się przed Grobem Nieznanego Żołnierza, na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach w kwaterze żołnierzy września 1939 roku. Również uroczysty charakter miały obchody w miastach całej

Polski. W Gdańsku złożono wieńce przed pomnikiem na Westerplatte i pomnikiem Poczty Polskiej, w Krakowie pod pomnikiem Wdzięczności, na Kielecczyźnie w miejscach walk partyzanckich. Antywojenne manifestacje odbyły się w byłych obozach zagłady, na ziemiach odzyskanych, szlakach bojowych — miejscach narodowej pamięci.

W rolnictwie nadal pełna mobilizacja, mimo iż skończył się żniwa. Ostatniego sierpnia Ministerstwo Rolnictwa oceniło, że pozostało jedynie ok. 4 proc. arealu do zbioru. Nie będzie więc żadnej przerwy. Już trwają omloty, drugi pokos siana, jesienne siewy i wykopy buraków. Również na pełnych obrotach pracują organizatorzy obrotu rolnego odpowiedzialni za sprawny odbiór zbóż, ziemniaków, buraków cukrowych, żywa. Czas rolnika był zawsze bardzo drogi, teraz jest drogi szczególnie.

3 września, w niedzielę, odbyło się w Bydgoszczy tradycyjne święto plonów. Właśnie w Bydgoszczy, bo zgodnie z przyjętym niedawno zwyczajem centralne uroczystości dożynkowe odbywają się w stolicy województwa, które osiągnęło najlepsze wyniki w produkcji rolnej. A w roku 1971 rolnicy województwa bydgoskiego uzyskali rekordowy wynik — przeciętna czterech podstawowych zbóż wyniosła tu 27,2 q z ha.



Tutaj więc, podobnie jak rok temu do Opola, co ma wymowę symbolu, przybyli przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i rządowych. Gospodarzowi dożynek tow. Edwardowi Gierkowi wręczono wieńiec i tradycyjny bochen chleba. Do zebranych wygłosił przemówienie premier Piotr Jaroszewicz wysoko oceniając trud i owocną pracę polskiego rolnictwa.

Tradycyjnie już w pierwszą niedzielę września obchodził swe doroczne święto 150-tysięczna rzesza pracowników energetyki i gazownictwa. Tym razem centralna uroczystość odbyła się w Kozienicach. W przeddzień uroczystych obchodów „Dnia Energetyka” tow. Edward Gierek spotkał się z delegacją pracowników tej ważnej gałęzi gospodarki, przekazując na ręce uczestników spotkania serdeczne gratulacje dla wszystkich załóg. Podkreślając ogromną rolę jaką energetyka odgrywa w nowoczesnej gospodarce, I Sekretarz KC z uznaniem mówił o dotychczas osiągniętych wynikach, i o tym, że już dziś trzeba się przygotowywać do zwiększonych zadań. Biorący udział w spotkaniu wicepremier J. Mitrega stwierdził, że m. in. energetyka udoskonaliła metody budowy nowych obiektów, co przynosi w rezultacie skrócenie cykli inwestycyjnych od 20 do 30 proc. Np. w Kozienicach na trzy miesiące wcześniej niż

planowano uruchomiono pierwszy zespół o mocy 200 MW. W Ostrołęce wejdą do eksploatacji trzy nowe bloki energetyczne w ciągu 1 roku. Następnie przedstawiciele Ostrołęki, Rybnika, Turowa, Pałnowa i Konina mówili o skróceniu terminów uruchamiania nowych mocy, o swoich osiągnięciach, ale i również kłopotach, zgłaszając szereg cenowych wniosków i propozycji.

Z obchodami Dnia Energetyka koresponduje doniesienie PAP z Kielc. Trwają tu końcowe przygotowania do rozpoczęcia już z początkiem roku 1973 nowej, gigantycznej elektrowni „Polaniec”, która po zakończeniu I etapu budowy dostarczy 1.600 MW energię, posiadając możliwość rozbudowy do mocy 3.100 MW. Elektrownia ta pracować będzie na węglu kamiennym, zbudowana zostanie na obszarze 125 ha piaszczystych (to ważne!) gruntów, kosztem ponad 9,5 mld zł.

Z ostatnich decyzji Prezydium Rządu chciałbym zwrócić uwagę na powołanie w wniosek Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki — Kombinat Aparatury Badawczej i Dydaktycznej pod nazwą „Kabid”. Jest to ważna decyzja, nie tylko o charakterze organizacyjnym. Skoncentrowanie całej produkcji aparatury badawczej pozwoli na lepsze wykorzystanie rozproszonego dotąd potencjału badawczego, konstrukcyjnego i produkcyjnego. Pozwoli sprawniej zrealizować trudne zadanie na najbliższe lata; przynajmniej trzykrotne zwiększenie produkcji aparatury badawczej i dydaktycznej. Takie są potrzeby nauki i gospodarki w naszym kraju i muszą zostać zaspokojone jak najszybciej. Powołanie kombinatu koncentruje środki i odpowiedzialność, gwarantuje lepszą gospodarkę środkami i materiałami, ułatwi współpracę z analogicznymi instytucjami w krajach RWPG, skróci w efekcie drogę od „pomyślu do przemysłu”.

J. PIECHOWIAK

■ NOWY ROK SZKOLNY.

Inny niż poprzednie, bo od pierwszego dzwonka uczniowie zasiedli w ławkach, aby nie uroczystościami, a pracą zacząć nowy rok szkolny. Ale nie we wszystkich szkołach tak będzie. Są w naszym życiu bowiem takie okresy, kiedy historia lubi się powtarzać. Każdego lata wszyscy deklarują, że są przygotowani do zmiany i każdej zmiany aura nas zaskakuje. Bywa też i odwrotnie, już zimą deklaruje się przygotowanie do walki z upałami, a latem nie z tego nie wychodzi. Tak też bywa i z remontami szkolnymi.

Mijają dwa miesiące wakacji i 1 września na dzwonek szkolny, w niektórych miejscowościach, do szkoły razem z dziećmi i młodzieżą idą... robotnicy budowlani. Niestety, nie idą się uczyć. Idą kończyć remont. Tak jest i tego roku w wielu szkołach województwa łódzkiego. Chodzą oni do szkoły razem z dziećmi z RYLSKA DUŻEGO w powiecie rawsko-mazowieckim, choć nie zupełnie ze swojej winy. Zawinił bowiem ich koleś, z Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Gospodarki Komunalnej, którzy nagłe zmienił plany i przerwał roboty. Natomiast dzieci z PRZEDMOSIA w powiecie wieluńskim z winy budowlanych, zamieszkałych do szkoły, chodzą do szpitali, gdzie wynajęto dla nich zastępcze izby. W ŁĘCZYCU znów przedszkolacy przez jakiś czas pozostają w domu, bo robotnicy Ozorkowskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego pozwolili sobie na opieśzalność.

Takich przykładów można byłoby podać jeszcze więcej, i to również z samej Łodzi, ale przecież rzecz nie w tym. Chodzi raczej o odpowiedź na pytanie, jak to się dzieje, że w państwie, które w swoich ustrojowych podstawach ma zasadę planowania gospodarczego, coroczna praktyka potwierdza niedostatki tego planowania. Brak odpowiedzialności? Brak kompetencji? Nieudolność? Czy może zwykły bałagan? Na te pytania czas już odpowiedzieć, aby w przyszłym roku znów nie powtórzyła się sytuacja z tego i poprzednich. Odpowiedzialni za bałagan powinni ponieść konsekwencje, a opinia publiczna powinna się o tym dowiedzieć.

■ UWAGA DZIECKO NA DRODZE! I jeszcze raz o nowym roku szkolnym. Ulice miast, miasteczek, wsi, a także szosy zarządzą się pierwszoklasistami, którzy rano będą szli do szkoły, a w południe wracali ze szkoły. Radio, prasa, a także milicja wszystkimi możliwymi

■ W POKOBIŁU

środkami apeluje do rodziców i kierowników: UWAZAJCIE NA DZIECI NA DRODZE! Komenda Wojewódzka MO w Łodzi zwróciła się z apelem do rodziców, aby nauczyli dzieci poruszania się po jezdniach i drogach. I aby przekonali je, że każdy dorosły człowiek jest i powinien być ich przyjacielem i powinien im pomóc przy przejściu niebezpiecznego odcinka drogi do szkoły. Komenda Wojewódzka MO w Łodzi prosi też rodziców, aby nauczyli dzieci, że powinni szukać pomocy u każdego milicjanta.

Do apelu tego warto dołączyć apel do kierowców, aby jechali uważnie, aby pamiętali, że zaczęły się już nowe rok szkolny. Jeden z radiowych dziennikarzy powiedział niedawno w audycji, że we wrześniu, jak co roku, gwałtownie wzrosnie statystyka wypadków, których ofiarami będą dzieci. Czy tak musi być naprawdę? Czy naszą uwagę i rozsądność nie możemy tego zmienić? Spróbujmy!

■ MOTORYZACJA I USŁUGI. Coraz więcej samochodów pojawia się na polskich drogach. Jedyni to ciesty, drugi smutek do rozwoju motoryzacji powinien być zupełnie inny. Przede wszystkim pozbawiony emocji, a więc chłodny i analityczny. Rozwój motoryzacji — czy my tego będziemy chcieli, czy nie — zmienić musi dotychczasowy sposób myślenia. Polak poruszający się pieszo i Polak pedałujący na złamanie karku samochodem — to dwa zupełnie różne Polacy. Trzeba też ich zupełnie inaczej obsługiwać. Połak zmotoryzowany musi mieć wszystko przy drodze, aby mógł, zatrzymując się raz, załatwić kilka pilnych dla niego spraw. Przedsiębiorstwa usługowe są jednak na stopie myślenia o Polaku pieszym, a już jeśli myślenia o zmotoryzowanym, to budują dla niego tylko stacje obsługi samochodowej. W województwie np. mają powstać trzy nowe stacje: w Rawie Mazowieckiej, Łasku i Skierniewicach. A województwo łódzkie jest szczególnie predestynowane do troski o zmotoryzowanych Polaków. Jego centralne położenie w kraju powoduje, że — po pierwsze — tu krzyżują się szlaki komunikacyjne, a — po drugie — że tu wypada połowa podróży dla tych, którzy jadą z różnych krańców Polski. Trzeba więc, planując rozwój usług na następne lata i ten fakt brać pod uwagę. Tym bardziej, że nie będzie to bez korzyści dla mieszkańców regionu.

■ „ZIELONA FAŁA”. Tak nazwano synchronizację sygnalizacji na skrzyżowaniach łódzkich ulic. Pisano i mówiono o tym od lat. Ostatnio „Głos Robotniczy” doniósł, że już zapadła decyzja i szafy sterownicze z Zakładów Wytwarzanych Urządzeń Sterowniczych w Katowicach będą pomagały kierowcom się jeździć bez zatrzymywania się skrzyżowania ul. Rewolucji 1905 r. z ulicą Wschodnią, ul. Piotrkowską z ul. Próchnika i ul. Próchnika z ul. Zachodnią. Jak na wynik wieloletniej dyskusji nie jest to epokowe osiągnięcie, tym bardziej, że system „zielonej fały” znany jest już na świecie od lat. Po co więc znów eksperymentować na niewielkim odcinku wcale nie najważniejszej arterii miasta, kiedy na

„zieloną fałą” od lat czeka ul. Piotrkowska. Okazuje się jednak, że „zieloną fałą” wprowadzić się na ul. Piotrkowskiej dopiero... w drugim etapie. Kiedy to będzie?

■ A MNIE NIE SZKODA LATA. Stało się tradycją, że każdego września Polskie Radio nadaje popularną piosenkę „A mnie jest szkoda lata”. Mnie osobiście nie i to z różnych powodów. Jednym z nich jest łódzka gastronomia, która cyklicznie urządza „głodne niedziele” w mieście, zamykając w lipcowe i sierpniowe niedziele co większe restauracje śródmięscia.

Traktowanie Klienta jak zło konieczne stało się już w naszej gastronomii metodą. Wprawdzie wydawało się, że przedsiębiorstwa gastronomiczne robią wszystko, aby klient miał wrażenie, że o niego się troszcza, ale są to wszystkie pozory. Do takiego mniemania skłoniły mnie nie tylko lipcowe i sierpniowe „niedziele głodnych”, ale również konkurs „Srebrnej patelni”. W zamysle miało to być okazja do urozmaicenia jadłospisu, do specjalizacji. Nie wszyscy jednak z takiej okazji skorzystali. Są restauracje, które konkurs ten traktują jako zło konieczne, nikomu niepotrzebny wymysł. Dla nich klient i tak wszystko zje, bo jest głodny, albo przyszedł napić się wódki i weźmie na zakaske wszystko, co mu kelner pod nos podsunie.

I właśnie latem, kiedy wielu ludzi skazanych jest na korzystanie z restauracji, jak na dłoni ujawniają się wszystkie braki naszej gastronomii.

M. RODAK

PODZIĘKOWANIE

Zarządowi Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich, redakcji „Odgłosów”, innym instytucjom oraz przyjacielem, kolegom i znajomym, którzy wzięli udział w pogrzebie.

REDAKTORA
ROMANA LOBODY
Serdeczne podziękowania składa

RODZINA

PREZENTACJE

Wiesław Garboliński

Przywykło się mówić o Łodzi — brzydkie miasto. Rozpoczęta przebudowa stwarza szansę, aby ta opinia przestała obowiązywać. Zresztą już teraz Łódź w niektórych swoich fragmentach jest ładna.

— Co zrobić, żeby całe miasto zaczęło nam się podobać? — pytam Wiesława Garbolińskiego, prezesa Łódzkiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. — Przecież plastycy powinni w tej sprawie mieć najwięcej do powiedzenia.

— Teoretycznie ma pani rację.

— A praktycznie?

— A praktycznie to jest tak, że my bardzo chcielibyśmy wspólnie z architektami decydować o tym, jaki będzie kształt plastyczny przyszłych dzielnic, osiedli, a nawet domów, ale, jak do tej pory, tylko na naszych dobrych chęciach się kończyło. Na razie to architekt decyduje o formie plastycznej tego, co projektuje i jeśli uzna, że gdzieś tam jakiś element plastyczny by się przydał, to zaprasza plastyka do pomocy. A nam chodzi o to, żeby plastyk od początku uczestniczył w projektowaniu i aby wspólnie z architektem myślał o koncepcji osiedla czy dzielnicy.

— Skutki takiej praktyki widzimy choćby na Dąbrowie, osiedlu, szarym, nieciekawym i monotonnym. Wasza współpraca z architektami na pewno pozwoliłaby na stworzenie ciekawych plastycznie i różnorodnych osiedli.

— Sądzę, że ta współpraca powinna dotyczyć nie tylko nowych osiedli. Mogłaby ona odegrać ważną rolę przy modernizacji centrum miasta. Łączenie nowego ze starym nie powinno odbywać się bez udziału plastyka.

— I tak chyba będzie?

— Myślę pani o generalnym plastyku? To chyba rzeczywiście wiele zmieni. Będzie to funkcja bardzo odpowiedzialna i bardzo poważna. Będzie on, po prostu, koordynatorem wszelkich poczynań estetycznych w mieście. Dzięki temu zapobiegnie się działalności wielu instytucji, które starają się upiększać miasto na swoją rękę, według swego gustu. Często nie najlepszego.

— Najgorsze jest to, że temu złemu gustowi trudno się nawet dziwić. Nie od

dziś wiemy, że poziom wychowania estetycznego nie jest u nas najlepszy.

— To prawda, ale takie stwierdzenie niczego nie tłumaczy. Pozwala tylko gościć się z rzeczywistością.

— Jak ją wobec tego zmienić?

— Mówiąc najprościej — trzeba zacząć uczyć ludzi odbioru sztuki. Wiem, że nie jest to takie łatwe. Decyduje o tym przecież i szkoła i dom i tradycja. A my, jako twórcy, mamy tu też sporo do zrobienia. Wychodząc z założenia, że zainteresowanie każdym problemem jest uwarunkowane jego poznanie, prościej — sztuką interesują się ci, którzy już coś o niej wiedzą, nasz oddział ZPAP zamierza wprowadzić nowe, atrakcyjne formy upowszechniania plastyki. Takie, które mogłyby zainteresować najszerze kręgi społeczeństwa.

— Na przykład?

— Będziemy organizować nowe wystawy problemowe wraz z imprezami towarzyszącymi, pokazującymi ten sam problem w innych dziedzinach sztuki — w muzyce, poezji. Będziemy nadal organizowali wystawy w fabrycznych i osiedlowych domach kultury oraz — dopóki nie będzie galerii — w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza i w Salonie Sztuki Współczesnej przy Piotrkowskiej.

— A jak długo przyjdzie nam czekać na galerię?

— Wie pani, w tej chwili jest to już dla nas sprawa drażliwa. Wiemy przecież, że bez galerii niemożliwe jest wprowadzanie coraz to nowych form upowszechniania plastyki. Ale budowę galerii przesunięto na lata przyszłej pięcioletki.

— Z tego powodu nie można jednak odłożyć na później upowszechniania plastyki.

— Toteż nie odkładamy. Tym bardziej, że w świecie współczesnym plastyka spełnia ogromną rolę. Większą nawet niż nam się to wydaje. Nie ma właściwie dziedziny życia, w której nie uczestniczyłaby plastyka. Na przykład przemysł lekki nie istniałby bez projektanta. Również w przemyśle ciężkim przy decydowaniu o formie nowej maszyny coraz więcej do powiedzenia ma plastyk. A właściwie zaprojektowanie wnętrza hali fabrycznej, mieszkania i miejsca wypoczynku? Dawno już stwierdzono związku między

estetyką otoczenia a psychiką człowieka. I gdy tak sobie uświadamiamy, jaką rolę plastyk odgrywa we współczesnym życiu, to jednocześnie trudno nie myśleć o tym, jakie powinien zajmować miejsce w społeczeństwie.

— Między jednym i drugim jest wyraźna dysproporcja.

— I to tym gorzej, że opóźnienia w gospodarce i technice można stosunkowo szybko nadrobić. Trudniej odrobić zaniedbania w kulturze społeczeństwa.

— Wydaje mi się, że z tym, co Pan mówił, wiąże się również sprawa — nazwijmy to — mecenatu.

— Na pewno. W tej chwili istnieje jedna forma mecenatu — opieka państwa. Jest to forma pomocy dla twórców, ale kupione obrazy czy rzeźby, nierzadko spoczywają w magazynach lub piwnicach, zamiast być udostępnione społeczeństwu. Najidealniej byłoby, gdyby obrazy, rzeźby i grafiki do prostu kupowali ludzie i żeby wynikało to z naturalnej potrzeby człowieka.

— Czasem kupuje się obraz ze snobizmu.

— U nas tego nie ma, choć moim zdaniem, snobizm w tej dziedzinie byłby pożyteczny. Prowadziłby do popularyzacji sztuki. Więcej, u nas nie ma nawet snobizmu, który skłaniałby do pokazania się na wystawie plastycznej. Świadomość tego jest dla twórcy dość przykra, ba przecież każdy z nas tworzy dla ludzi i chciałby, aby jego twórczość znajdowała jak najszerzy odbiór, aby była ludzkom potrzebna.

— Spotkałam się z opinią, że artysta często tworzy bardziej dla siebie, niż dla innych.

— To nieprawda. Ja bym sformułował tak: jeżeli artysta nie tworzy na konkretne zamówienie, to pracuje na własne ryzyko. Na przykład malarstwo sztalugowe jest propozycją, której odbiór jest dla twórcy wielką niewiadomą. Ale każdy maluje z myślą o przyszłym odbiorcy. Ta myśl jest dla niego swoistym — nazwijmy to — sportowem — dopingiem. Nawet, jeśli jest to tylko nadzieja, że zrozumienie jego sztuki przyjdzie znacznie później.

— W Pana przypadku nie ma chyba obawy o właściwy odbiór Pańskich obrazów? Wystawiał Pan swoje prace w Związku Radziec-

kim, NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Austrii, w Bułgarii, Rumunii, Hiszpanii, Jugosławii, Francji, Finlandii, Anglii, Holandii, Kanadzie, Japonii. Miał Pan szereg wystaw indywidualnych w kraju, otrzymał Pan wiele nagród i wyróżnień, że wymienię choćby pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie na obraz w 1970 roku. Pańskie obrazy są w wielu muzeach, a ostatnio dokonano zakupu jedno z muzeów londyńskich.

— Wie pani, to jest tak, człowiek się tym cieszy, ale — z drugiej strony — jest w tym cień wątpliwości; jak będzie później, czy czas nie zweryfikuje mojego dorobku.

— A które ze swoich dotychczasowych prac ceni Pan najbardziej?

— Tak, jak i inni twórcy — ostatnią. Póki nie zacznie następnej. Jest to naturalne, bo w każdej następnej pracy odkrywa się coś nowego, czego przedtem nie było. I jest to dla mnie świadectwem rozwoju artystycznego.

— Od jak dawna Pan maluje?

— Mogłbym powiedzieć, że zaczęło się to już w szkole powszechnej, ale tak na serio, to po wojnie, w czasie studiów w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie moimi nauczycielami byli tak znakomici twórcy, jak Zbigniew Pronaszko i Wacław Taranczewski.

— Czy zaraz po studiach w Krakowie wrócił Pan do Łodzi?

— Nie, przez trzy lata byłem na aspiranturze w Instytucie Malarstwa Rzeźby i Architektury w Leningradzie. Poza tym niezupełnie wróciłem do Łodzi, bo urodziłem się i wychowałem w Głowniu.

— Pański pierwszy sukces?

— Nie wiem, czy o tym mówić. W każdym razie było to jeszcze podczas moich studiów. W Muzeum Narodowym w Warszawie zorganizowano wystawę pod hasłem: „Młodzież walczy o pokój”. Mój „Portret przodownika”, a były to czasy socrealizmu, zdobył wówczas wyróżnienie. Teraz pani rozumie, dlaczego miałem obojętne. Dziś nie każdy chętnie przyznaje się do sukcesów z tamtego okresu.

— Może to nie jest zbyt dyskretne pytanie, ale czy mógłby Pan powiedzieć, jaki artysta wywarł na Pań-

ską twórczość największy wpływ?

— Przez długi czas byłem pod wpływem ikony ruskiej. I wyzwoliłem się z tego dopiero niedawno. Każdy artysta na początku swojej twórczości szuka mistrza. Później następuje zjawisko odwrotne. Twórca stara się wyzwolić spod tego wpływu i patrzeć krytycznie na ten okres swojej pracy. Trochę inaczej wygląda sprawa z szukaniem inspiracji w różnych okresach historii sztuki. Bowiem nikt nie tworzy w oderwaniu od przeszłości.

— Jaki temat jest Panu najbardziej bliski?

— W okresie, kiedy malowałem pod wpływem ikony, interesował mnie pejzaż i kompozycje figuralne. Wpływ ikony wyrażał się wtedy statycznym ujęciem tematu, było to coś w rodzaju stosowania zasad architektury w malarstwie. W tej chwili to się zmieniło. Temat stał się dla mnie pretekstem do pokazania przedmiotu, całej jego realności i materialności. Pozorne przypadkowe zesta-

wienie postaci i zdarzeń pozwala pokazać mi takie treści, które poprzez luźne skojarzenia powinny być czytelne dla odbiorcy.

— Wrócił Pan niedawno z pleneru. Czy takie malowanie na oczach kolegów odpowiada Panu?

— Nie. Przyznam się pani, że najchętniej maluję w absolutnym spokoju. Przy czym samo malowanie jest już wynikiem wielu przeżyć. A do tego, spokojnie jest niezbędny.

— I ostatnie już pytanie. Jaka dziedzina sztuki, poza oczywiście malarstwem, jest Panu najbliższa?

— Mnie się wydaje, że artysta, aby mógł tworzyć, musi interesować się wszystkimi dziedzinami sztuki. Musi znać film, teatr, muzykę, poezję, żeby wiedzieć, jak inni twórcy pokazują życie. Jednocześnie musi to życie poznawać sam. To jest przecież największe źródło inspiracji.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ



POWRÓT FREDA

Dalszy ciąg ze str. 1

nagle zaczęły się mieszać, powtarzać. Prasa wyraźnie goniła w piętkę, żeby przydać sprawie świeżych blasków. Kiedy przestał drażnić wyobraźnię powrót, kojarzący brzemienne aktorkę z filmowym fryzjerem, kiedy wyswiewało się do reszty tajemnicze słowo na ścianie, wymierzone przeciwko ofiarom, ale przystające równie dobrze jako podpis do sprawców tej zbrodni — zapobiegliwi reporterzy sięgnęli do przeszłości. Niemiec sugestywnie opisał przyjęcie, w którym oni brali udział śmiejąc marihuane. Francuz rozkładał się szczerze nad wdziękiem i skromnością niedoszłej matki. Włoch

uderzał celnie z drugiej strony: przypominał wywiad, którego gwiazda udzieliła mu w Rzymie: on w smokingu, ona naga w hotelowej łazience; on pyta: czy lubi pani hippiesów, ona odpowiada: tak, bo jest zwolenniczką miłości totalnej; on: czy oddałaby się partnerowi na planie, ona: jasne, wszystko zrobi, byle tylko zaszkokować hipokrytę.

Trociny. Snob cierpiął na niedosyt informacji o człowieku, który był mu bratem. Jego chciałby widzieć w glorii. Tamci?... Nie oglądał przecież z bliska Sary Berg. Nie dotykał Anity Moore. Nie wdrował nigdy z malarzem Johnem Rayem Paramonem na trasie: Klub Studentów — „Purpurowa”. Nie wymieniał kopniaków i

uścisków dłoni z Kayem Rosnerem. Byli dla niego czymś odległym, nierealnym; stanowili tylko tło, oprawę dla polskiego bohatera amerykańskiej tragedii, faceta, którego znało w tym mieście dwa tysiące osób lub nawet z trzy osoby więcej, a którego teraz, po śmierci, przypominało sobie raptownie kilkanaście tysięcy: „tańczyliśmy z nim”, „traćaliśmy się szkłem”, „graliśmy w dziewiątego wała”, „więc czemu tak rzadko wymieniamy go w prasie?”

Właśnie! Szlagier sezonu z wolna usychał; za mało oliwy; tryby przestały się kręcić. Już, już miała zapasć ostateczna cisza... i nagle wrzawa wybuchła na nowo.

On wrócił.

Z początkiem września ukazał się w gazecie krótki, wytworny nekrolog: „Godziła się szesnasta, cmentarz przy ul. Tulipanów, rodzina”. Bez żadnych ozdóbek w stylu: „zrozpaczeni”, „nieutulona w żalu”. Prawidłowo. Intymnych uczuć nie wystawia się na pokaz.

— Czyj to pogrzeb? — zapytałem na wszelki wypadek korespondenta „Wieczoru Polskiego”; krył za pazuchą aparat fotograficzny; mrużył podejrzliwie oczy.

— Freda — powiedział. — I nie udawaj pan idioty.

Trumna była jeszcze w kaplicy, skąd rozwióczył się dokoła śpiew cmentarnych pieśniarzy i dusząca woń kadzidła. Wyszedłem na ulicę i policzyłem prywatne wozy; dwadzieścia; skromne; wartburgi, syreny, skody i mercedesy na warszawskich numerach. Wróciłem i zacząłem rachować ludzi. Ciężkie zadanie. Ale przwie-

chałem tu w określonym celu. Wiedziałem, że to się przyda, kiedy za pięć, sześć miesięcy sprawa porośnie mitami. — Było ich około czterystu. Panie, których zeszło się najwięcej, kryły w oczach smutek, lecz jeśli zabawić się w psychologa, u większości ten smutek zrobiony został na siłę; chodziło przecież o wywołanie wrażenia: „spalam z nim”, „był moją miłością”. Bzdura. Tylko część zapoznała się z jego lożnicą. Inne, dla których kiedyś nie istniał jako chłopak, albo one dla niego jako dziewczyny — wzięły udział w beznadziejnej licytacji, żeby znaleźć kontakt z wielkim światem. Podobnie rzecz się miała z połową męskiej gawiedzi. Przed laty omijali go bez ukłonu, teraz próbowali nawiązać łączność: wytworne towarzystwo z willi „Sesam” wspólnie zostało pośmiertnie, nieiako zaocznie, z wy-

twornym towarzystwem, mieszkającym w blokach albo w jednorodzinnych domkach na przedmieściu robotniczego miasta.

Korespondent „Wieczoru Polskiego”, pracujący na co dzień w prowincjonalnej popołudniówce, zdolał już ustalić kilka faktów. Nie ma jego byłych żon. Jest natomiast syn, matka, dwaj bracia, kuzyni i dalsi krewni z rodzinnym księdzem na czele.

Kiedy trumna dźwigana przez ośmiu tegich, dobranych wzrostem i ubiorem mężczyzn, pokonała drogę z kaplicy nad otwartym gróbem, korespondent strzelił dwa razy spod pachy. Inni, domorośli i zawodowi paparazzo poszli jego śladem, obnażając wstydliwie aparaty. Tlum napierał łagodnie do przodu, deptając sobie po od-

Dalszy ciąg na str. 4

Kwarantanna

Dalszy ciąg ze str. 1

To był chyba ten sam, którego kiedyś babcia przyprowadziła do przedszkola u „Bardowskiego” i więcej nie przyszła. Malcem zaopiekowała się przez noc sprzączka. Weźniej był w Domu Małego Dziecka. Teraz zaopiekowało się nim Pogotowie. Mało mówił, słabo chodził. Został poddany badaniom w poradni zdrowia psychicznego. Powoli zanika upośledzenie. Ale chłopcu brakuje czegoś najważniejszego — ciepła matczynego. Przywiązał się do ulubionej, zwanej „mama”, wychowawczyni. Kiedy wyjeżdżała na kolonie, płakał i trzymał się jej kurczowo...

Do Państwowego Pogotowia Opiekuńczego trafiają dzieci „z ucieczki”, z pijackich meln, dzieci samotnych kobiet, matek przebywających w szpitalach albo w... więzieniach. Poddawane są badaniom lekarskim (przez różnych specjalistów), uzupełniają braki w nauce. W zakładzie zatrudniony jest lekarz, pielęgniarka, psycholog, nauczyciele przedmiotów, wychowawcy ze specjalnym wykształceniem pedagogicznym.

Zwykły dzień: 8.15 — nauka (szkółka w tym samym budynku), po nauce obiad, potem do 16 czas wolny, odrabianie lekcji, dyżury, prace porządkowe. Dzieciom, które nigdy nie znalazły prawdziwego domu, usiłuje się go stworzyć w zakładzie.

Czytają, wychodzą do kina i na spacer, organizują imprezy rozrywkowe, uczestniczą w pracy kół zainteresowań: plastycznym, fotograficznym, sportowym i gospodarstwa domowego. Działa samorząd, który udziela nagrody i kary, wciąga nowo przybyłych do życia w zakładzie. I trzeba stwierdzić, że działa dobrze, gdyż ucieczek notuje się stosunkowo mało.

Aby zdopingować wychowanków do nauki (wielu

ma poważne braki wskutek zaniedbań rodziców, wielomiesięcznych wagarów) prowadzi się stały konkurs najlepszego ucznia.

Pobył w Pogotowiu, po którym podopieczni rozsyłani są do zakładów wychowawczych i Domów Dziecka, gdyż najczęściej własnego domu nie mają, nazwaniem kwarantanna. Tak, bo trzeba tu wyleczyć dzieci z różnych chorób, z wszawicy, świerzbu, nawet z zarażeń wenerycznych. Są wśród podopiecznych dziewczyny, znające już smak fizycznej miłości, ćmiące pod koldrami papierosy; są chłopaki pod wąsem, którzy z niejednego pieca chleb jedli.

Kwarantanna trwa czterdzieści dni. Tutaj trwa trzy miesiące. Albo przynajmniej powinna. Tymczasem okres ten przedłuża się nawet do dwustu dni. Bo brak miejsc w zakładach wychowawczych i w Domach Dziecka. Zresztą jak wcześniej wypuścić w normalne życie 14-letniego chłopaka, który ukończył zaledwie jedną klasę szkoły podstawowej. Przywieziono go z ucieczki, z Krakowa. Przedtem był bity przez matkę, która nie mieszka z ojcem, i urządziła w domu orgie pijackie. Wypędzała go w nocy na mróz i śnieg. Spał na lawkach w parkach i w ogródkach działkowych.

Matka nie utrzymywała kontaktu z Pogotowiem. Przyszła tylko spytać, czy to prawda, że przywieziono jej syna aż z Krakowa. Po tem zaczęła się awanturować, że słabo pilnują w Pogotowiu. Twierdziła, że syn chciał się do niej włamać.

Prawda była inna. Chłopiec poszedł uzgodnić z matką, gdzie ma pozostać: w Pogotowiu, czy iść do Domu Dziecka. Ponieważ rodzicielki nie zastał, szarpnął za kłamek. Sąsiadki zrobiły szum! Włamanie.

Przy tej rozmowie rozplakał się. Takie wielkie chłopisko, metr siedemdziesiąt wzrostu,

I już nigdy, nigdy nie poszedł do matki. Ona tłumaczyła przy tym, że więcej musi dbać o córkę, ładniej ją ubrać itd. A skądinąd wiadomo, że córeczka już urzęduje w nocy po parkach i bramach.

Państwowe Pogotowie Opiekuńcze poprzez wywiadowki i zebrania prowadzi akcję pedagogizacji rodziców. Nie zawsze to się udaje, wielu rodziców niechętnie przychodzi na takie zebrania. Ba, są i tacy, którzy nie wiedzą, czy to ich własne dziecko przebywa w zakładzie! Np. mama, która nie wie, ile ma dzieci. Jest ich sporo, każde o innym nazwisku. Wszystkie w świecie, a mama w ciasnej, brudnej izbie, prawie bez mebli (bo kozetka w komórze) spi... w szafie.

„Ostatni” z tatusiów pisze list z więzienia, aż znad morza, zapytaniem, czemu jego dziecko znalazło się w Pogotowiu. Martwi się też o pieniądze, które pobierają mu na alimenty, twierdząc, że mama przeznacza je na wódkę. Wszystko z myślą o dziecku. A przedtem, kiedy dzieciak przychodził do niego po pieniądze, wyrzucał go kopniakiem za drzwi...

Babcie teraz wychowują dzieci. Jak przedszkolaków: Grażynkę i Adama. Maluchy nie miały gdzie spać, matka nie pracowała, przeto babcia musiała na wszystkich zarabiać. Ale kiedy przyszedł inspektor na przeprowadzenie wywiadu, zastał sytuację następującą: matka, babka i jej przyjaciel (!) leżeli pijani w łóżku. Matka nie mogła się podnieść z legowiska, a babka, miast udzielać wyjaśnień na temat dzieci, belkocząc awanturowała się z przyjacielem.

Zdarzają się też sytuacje paradoksalne: w Pogotowiu przebywają jednocześnie: 16-letnia ciotka i jej 4-letnia siostrzenica. Kiedy mała coś przeskrobie i ma być ukarana, grozi wychowawczyni, że poskarży się ciocie. Obie wyciągnięto z izby, gdzie gnieździło się 11 osób,

w tym dziewięcioro dzieci, a wśród nich dwoje wnucząt, które taty nie znają...

Z takich to środowisk, z bagna społecznego marginesu wyciągnięte dzieci, trzeba w Pogotowiu poddać kwarantannie, by mogły uczestniczyć w dalszym biegu życia...

* * *

Czy kwarantanna, mimo opieki lekarskiej i pedagogicznej, zawsze zdaje egzamin? Niezupełnie. W Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym panuje straszliwa ciasnota. Dzieci nie mają nawet boiska, brak podstawowych urządzeń sanitarnych. Limit przewiduje 70 „pensjonariuszy”, ale w ciągu roku szkolnego liczba ich przekracza 200. Na limit 10 przedszkolaków, aktualnie przebywa ich 20, gdyż w czasie wakacji Domy Dziecka nie przyjmują nikogo.

Warunki lokalowe doprowadziły do bardzo smutnej sytuacji: w ciasnocie prze-

bywa 70 dzieci w wieku od 3 do... 18 lat. Chłopcy i dziewczęta. Jest tylko jedna izolatka, gdzie upycha się dzieci z wszawicą, świerzbem, chorobami wenerycznymi. Te z przeziębieniami, anginami przebywają na jednej sali ze zdrowymi.

Nie wpływa to dodatnio na wyniki leczenia, a współżycie dzieci o takiej rozpiętości wieku decyduje również o wynikach wychowawczych.

Państwowe Pogotowie Opiekuńcze jest jedną tego rodzaju placówką w Łodzi. Kiedyś były dwie, ale jedną zlikwidowano. Czym się kierowano, nie wiadomo. Być może nie dostrzegano potrzeb i rangi takiego zakładu.

A dzieci, zwłaszcza te starsze, choć często narzekają, kiedy nadchodzi dzień przejścia do Domu Dziecka, płaczą. Nie chcą stąd odejść. Mimo trudnych warunków jest im tu dobrze. Długo pamiętają wy-

chowawców, przesyłają im karty pocztowe, kwiaty.

Myszę, że władze miasta winny zająć się tym ważnym problemem społecznym. Jest pilna potrzeba zbudowania placówki selekcyjno-rozdziałowej, jaką jest Pogotowie, ale placówki z prawdziwego zdarzenia, o odpowiedniej powierzchni i z dobrym wyposażeniem. Tym bardziej, co jest sprawą smutną, że ogromnie wzrasta ilość dzieci potrzebujących opieki. I to nie sierot (jest ich bardzo mało), lecz dzieci, których rodzice żyją.

Potrzebują tej pomocy, opieki. Wystarczy popatrzeć na nich, ubranych w jednokolorowe skafandry, jak bawią się w Parku Poniatowskiego lub na Zdrowiu. Weseli, roześmiani, ale mający w oczach, gdy uważnie się przyjrzy, coś smutnego. Pragnienie ciepła, widoku pochylonej twarzy matki, dotyku jej dłoni...

RYSZARD BINKOWSKI



POWRÓT FREDA

Dalszy ciąg ze str. 3

ciskach, bo zaczęła się właśnie część oficjalna. Najpierw przemawiał z urzędu cmentarny kaznodzieja, później wystąpił na plan ksiądz rodzinny. I w tym momencie dramat przeistoczył się w farsę. Zebrani usłyszeli donośny, klarowny głos, skandujący długie fragmenty listów, które tamten pisał rzekomo do matki przez ocean. „One — mówił duszpasterz — oczyszczą pamięć po zmarłym, ukążą jego życie w innym świecie”. To praw-

da. Różniły się zasadniczo od barwnych widowisk, jakie nadsyłał kolegom, mieszając pogardliwie polski żargon z amerykańskim slangiem, bluźniąc na kraj, za którym w gruncie rzeczy tęsknił, śnił po nocach. Różniły się od kart adresowanych do syna: „Oto „Złota Góra”. Jeszcze trochę i tatuś da ci ją na własność”. Tu, nad mogiłą, grzmiały słowa ascetyczne, pełne wyrzeczeń. „Bóg” powtarzał się we wszystkich możliwych przypadkach. „Modlitwa”, „pokuta”, „nadzieja”, „zba-

wienie” „wiara” — stokrotnie były w uszy zaskoczonych, ogłupiałej ciżby. Panie, które zwały go naprawdę, zaczęły się z lekka uśmiechać. Panie, które znajomość pozorowały, zrzuciły maskę smutku; poczuły wielki zawód; uwierzyły, że ten człowiek, domniemany playboy, przez całe życie nic więcej nie robił, tylko kłęczał w pokutniczej pozie, wznosząc rękę do nieba. Wielu facetów też się dało nabrać; rozległy się szepty, zapytania: może tu chodzi o kogoś innego? Wątpliwości zostały

rozwiązane. Po listach ksiądz przeczytał serię depesz kondolencyjnych z zagranicy, nie podając nazwisk autorów. Jeden z telegramów londyńskich rozszyfrowano jako dzieło sławnego reżysera. Korespondent skrętnie odnotował tekst w zeszytacie i wieczorem wysłał informację do Warszawy. Następnego dnia, kiedy pytał o tym w Klubie, udowodniłem mu, czarno na białym, że to nie mógł być reżyser. Wpadł w lekką panikę. Niepotrzebnie. W „Wieczorze Polskim” są mądry redaktorzy i szlagier nie trafił do druku. No, ale jesteśmy jeszcze na cmentarzu. Starannie wyreżyserowane widowisko dobiega końca. Patrzę na oczy jego syna, białe nieruchomo w ziemię i na wyplakane do cna oczy matki. Tych dwoje nie poddało się teatralnej konwencji. Dokonuje rejestru nieszczęść rodzinnych, które na nich spadły. Kataklizm. Dwa zakończone rozwodem małżeństwa Freda to niewinna uwertura. Dwie jego kwarantanny szpitalne; paraliż od wódki i wiruso-

wa żółtaczka. Trzyletni pobyt seniora rodu w więzieniu. Desperacki, pijany skok Kajtka; ciężkie, niemal beznadziejne uszkodzenie kręgosłupa, wielomiesięczna rehabilitacja. Ucieczka Freda. I łańcuch tragedii ostatnich — wielki dzwon, czyli zderzenie czołowe ich wozu z samochodem początkującego kierowcy na szosie niedaleko Warszawy, wskutek którego senior rodu i jego bratanek ponieśli śmierć; morderstwo dokonane na Fredzie; strzał, sześćdziesiąt bandyckich ciosów nożem, dziesięć uderzeń w głowę i kastracja.

Ten reportaż może pocze-kać. Tak myślałem. Czas pojedna, trawa porośnie...

Jesienią wrócił z Jugosławii Kazimierz Maj. I on dokumentował tę historię, zbierając wycinki prasowe, rozmawiając z ludźmi. Przywiózł kilkadziesiąt stron opowieści „Ostatnie dni playboya” i podpisał umowę z wydawnictwem. Nie był wprawdzie na pogrzebie, ale uciekając się do wyobraźni i swoistej metafizyki — traf-

nie oddał fakty, atmosferę tej farsy-dramy: wokół grobu klebi się ludzkie mrowie, popatrząc na tabliczkę „Świętej Pamięci Fred Skarżycki”; słychać szepty, westchnienia: „taki młody i już umarł, umarł...”. „Ehe, umarł, umarł! — przedrzeźnia ich z góry duch Skarżyckiego. — Ale za to — w jakim dobrobycie!” Maj znalazł także z włoskich magazynów sześćdziesiąt garderob, którą Fred miał na sobie w godzinie śmierci; rozdeptane mokasyny i slipy za dwieście dolarów z grubym, artystycznie wyhaftowanym, otaczającym biodra fatlusem.

Z początkiem bieżącego roku rozeszła się fama, że do akcji wkroczył Krzysztof Kajtka. Rozmawiał już z Kajtkiem Skarżyckim. Tylko patrzeć jak pojedzie za ocean i napisze polskie „Z zimną krwią”. To będzie bomba! — mówili najbliżsi przyjaciele Kajtka, Maj, kiedy dowiedział się o konkurencji, machnął ręką, nie wierząc w możliwość Krzysztofa. „Ten facet wszystko kręci

SOPOT CZYLI IGRZYSKA

Dalszy ciąg ze str. 1

wnej poważnej gdańskiej instytucji uzasadnia w zwyczajnych słowach „konieczność kontroli przez naszych pracowników urzędów łączności na terenie Opery Leśnej, w związku z czym proszę nam wydać dwie karty wstępu”. Nie wiem, czy dysponent widowni w Operze, dyrektor Kapielisk Morskich w Sopocie, wydał owe karty dla — przypuszczam — jakiegoś dyrektora z małżonką.

Mamy zatem festiwal, na który się co prawda narzeka, ale który budzi zainteresowanie, jest tematem dyskusji przy kolacji i w autobusie. Może w tym roku nieco przyćmiły go Igrzyska Olimpijskie, ale świadczą to również o takim właśnie, na polu sportowym, charakterze imprezy. Zresztą osobiście uważam, że lepiej budzić emocje i zainteresowanie przy pomocy choćby przeciętnej piosenki, niż za pomocą bokserkiego mordobicia nawet na poziomie ekstraklasy.

Takie mniej więcej refleksje snułem sobie rok temu w Sopocie i z nimi przyjechałem na festiwal w roku bieżącym.

Bywało, że spotykałem się nieraz z pytaniami: „komu to potrzebne?”, przy których opadały ręce. Można przecież zapytać: „komu są potrzebne zawody sportowe”, „komu jest potrzebna literatura”, „komu potrzebny jest teatr Grotowskiego”? Pytanie jest demagogiczne, więc i odpowiedź może być demagogiczna: „potrzebne sześciu milionom telewizorów”.

Zresztą naczelny reżyser gdańskiej TV, Jerzy Afanasjew, był laskaw skorygować tę cyfrę, mówiąc, że za pomocą Interwizji i Eurowizji ogląda festiwal 57 milionów widzów. Poza tym Telewizja Polska puszcza w świat 20 kopii amepowych, za które co prawda nie dostajemy przysłówiowych „cennych dewiz”, ale w ramach wymiany możemy otrzymać filmowe programy rozrywkowe. Jeśli więc narzekamy czasem na nudne „show rozrywkowe” z Włoch czy Francji, miejmy to na uwadze, że dostaliśmy towar za towar.

Ale żarty na bok. Może to przyziemne, ale przecież dzięki festiwalowi jeden

z naszych najpopularniejszych kurortów morskich przestaje być zaniechaną dziurą. Parę dni przed imprezą otwarto np. Łazienki Północne, piękny pawilon z czterekilometrowym ciągiem spacerowym, z kawiarnią, z dziesiątkami kabin — obiekt rekreacyjny z prawdziwego zdarzenia.

Wiemy przecież doskonale, jaki jest wpływ imprez, zlotów, festiwali na decyzje inwestycyjne. Nie wiem jak długo czekałby Sopot na podziemne przejścia na alei Monte Cassino, gdyby nie festiwal. Nie wiem, jak długo sopocki dworzec mieściłby się w starej budzie z początków wieku, gdyby nie festiwal. Nie wiem, jaki byłby stan przepięknej Opery Leśnej, gdyby nie konieczność inwestowania w nią — właśnie z racji festiwalu — setek tysięcy złotych. Jeśli ten unikalny obiekt jest dziś amfiteatrem z prawdziwego zdarzenia, to przecież dzięki festiwalowi.

Mogą mnie śmieszyć dete historie i mity opowiadane o artystycznej randze Festiwalu, jest to impreza dziwna, ale potrzebna. Ze potrzebna, próbowałem wyjaśnić powyżej. Ze dziwna — opowiem.

Wiadomo, że Festiwal Sopocki jest właściwie imprezą debiutantów, piosenkarzy wschodzących. Zupełnie nieznaną w Anglii Samantha Jones, która wywozła z Sopotu główną nagrodę, w roku ubiegłym — obecnie zaczyna się liczyć.

Ale znaczy to również, że tylko debiutantowi oplaca się stawać w Sopocie w konkursowe szranki. Po prostu nie tracę — zyskać może co nieco. Nie przyjeżdżę natomiast do Sopotu żaden uznany piosenkarz o ustalonej renomie, choćby tylko w swoim kraju. Po prostu nie może ryzykować przegranej.

Wymyślono więc instytucję „gości festiwalu”, występujących poza konkursem z mini-recitalem. Pomyśl piękny, tylko realizacja... W ubiegłym roku gościami festiwalu była m. in. piosenkarka o gasnącej już sławie — Nina. W tym roku gośćmi festiwalu są — Irena Santor, Maryla Rodowicz, a więc piosenkarki, których sława nawet w Polsce zaczyna gasnąć. Z cudzoziemców zaproszono Amerykanina Deana Reeda, popularnego w Związku Radzieckim i NRD. Dean Reed jest bardzo sympatyczny, śpiewa protest-songi o niezwykłe słusznej wymowie społecznej; ma też

do perfekcji doprowadzone chwytliwy, robiące na publiczności dobre wrażenie. Znakomite wrażenie zrobił, mówiąc sopockiej publiczności „ja was lubię”, całując miłą panią w pierwszym rzędzie i śpiewając „sto lat” w duecie ze swym aranżerem, Martinem Hoffmanem. Wszystko to zyskało mu życzliwość publiczności, ale rangi festiwalu nie podniosło.

Również ze Stanów Zjednoczonych zaproszono Doris Troy, którą w Sopocie reklamowano jako „współpracującą z Beatlesami”. Bardzo dobrze, warto jednak wiedzieć, że zespół Beatlesów od dawna nie istnieje, ich sława zgasła, została po nich tylko piękna, ale dość stara legenda „chłopców z Liverpoolu”.

Przypadkiem wiem, że nasi sąsiedzi zza południowej strony — Czesi, organizują u siebie festiwal „Bratysławska Lira”, gdzie również zapraszają w charakterze gości wybitnych czy głośnych (bo to nie zawsze to samo) piosenkarzy świata. Tylko, że Czesi potrafili skłonić do udziału w „Bratysławskiej Lirze” na przykład Dalidę, kiedy jeszcze była u szczytu popularności. Przy okazji firma płytowa „Supraphon” nagrała jej piosenki, które szły jak woda, Czesi potrafili skłonić do udziału w „Bratysławskiej Lirze” choćby Cliffa Richarda, kiedy święcił triumfy popularności.

U nas, do Sopotu, zaprasza się piosenkarzy o sławie przebrzmiałej lub w ogóle nie ustalonej. Myślę, że jest to podstawowy błąd w sztuce organizowania imprezy.

Zresztą może nie błąd, może to zasada. Jeśli bowiem dyr. Dobierski z „Pagaru” oświadcza publicznie setce dziennikarzy, że festiwal ocenia dobrze, bo „jest kilku niezłych piosenkarzy”?... Dręczy mnie myśl, czy przy tak wielkiej imprezie nie warto jednak zarobić parę centów. Oczywiście publiczne pytanie: „kto na tym robi interes”, byłoby grubym nietaktem. Jeden z dziennikarzy zapytał w sposób delikatny, czy „Pagar” zadowolony jest z partnerów. Dyr. Dobierski odpowiedział: „I tak, i nie...”. Dziękuję, nie mam więcej pytań. W dalszym jednak ciągu dręczy mnie wątpliwość, czy wyszukana dyplomacja jest naprawdę „dobra na wszystko”.

Dyplomacja zresztą odnosiła ogromne sukcesy na konferencjach prasowych.

Młody, oczywiście, dziennikarz ze „Sztandaru Młodych” imponował obecnym dokładną znajomością artystycznych biografii piosenkarzy, wypowiadając się szeroko na temat tendencji i kierunków rozwoju piosenkarza, informując delikwentów, w jakim stylu śpiewał przed laty, w jakim dziś i w jakim śpiewać będą.

W tym krzyżowym ogniu pytań Doris Troy odpowiedziała przytomnie, że bardzo jej się w Polsce podoba. Już myślałem, że za chwilę padną słowa „gut polisz szynka”, co niektórym piosenkarzom wydaje się być największym dla Polaka komplementem. Ale nie.

Erudyta ze „Sztandaru Młodych” znów wypowiadając się szeroko na temat problemów stylu soul i pop music, ale Doris Troy była dyplomatem lepsza, nie dała się zjeść w kaszy, mówiąc, że swoje upodobania muzyczne zmienia co tydzień, dając w ten sposób do zrozumienia, iż wszelka poważna dyskusja nie ma sensu.

I rzeczywiście. Rozmowy na codziennych konferencjach były raczej dość miłe. Miewający „dziwne pomysły” przedstawiciel „Przekroju” zapytał Ewę Mazikową „a principia a atmosferę Bratisławskiej Liry”, na co otrzymał odpowiedź w języku czeskim, że festiwal ten różni się od sopockiego regulaminem.

Jako zdecydowanie lepszy poliglota zaprezentował się Bywalec z „Polityki”. Hector Cabrera z Wenezueli, laureat pierwszej nagrody „Dnia Polskiego” odpowiadał na pytanie, czy śpiewana przez niego piosenka „Jadą wozy kolorowe” wchodzi do stałego repertuaru i czy ukaże się na long-playu Cabrery. Piosenkarz szeptał coś omdlewając i kiedy skończył, tłumaczka pobladła i rzekła: „Ja się wyłączyłam — bardzo przepraszam — i nie słyszałam, co mówił pan Cabrera”.

— „Nie nie szkodzi” — odparł wówczas Bywalec — ja się nie wyłączyłam i mogę przetłumaczyć. Pan Cabrera powiedział, że się cieszy z udziału w festiwalu, i że polska publiczność jest wspaniała”.

No i powiedzcie sami! Jak tu się nie cieszyć z festiwalu, skoro wszyscy uczestnicy tak bardzo się cieszą i skoro jesteśmy tacy wspaniali. Hector Cabrera poinformował także — za pośrednictwem prasy — polską publiczność, że wieść o je-

go nagrodzie dotarła już do Caracas, gdzie z okien wywieszano flagi narodowe, a kierowcy jeżdżą już od rana z włączonymi klaksonami. Natomiast informacje kolportowane w kuluarach „Grand Hotelu”, jakoby dzień 25 sierpnia ogłoszono w Wenezueli dniem wójnym od pracy, wydają się być nieco przesadzone.

Pełna kurtuazji dyplomacja panowała w sali konferencyjnej, notabene pomieszczeniu o najgorszej akustyce w Europie środkowej. Kiedy przedstawiciel „Życia Warszawy” zapytał grupę obserwatorów pewnego kraju, czy zamierzają zorganizować u siebie Festiwal Piosenki Polskiej, bo przecież były już na ten temat rozmowy, przedstawiciel spytał łagodnie: „a z kim wyście na ten temat rozmawiali?”.

Ponieważ red. Wróblewski widać nie pamiętał dał spokój. No i bardzo dobrze. Wystarczy jeden festiwal w Opolu, drugi w Kołobrzegu, trzeci w Zielonej Górze, czwarty w Sopocie...

W sumie jednak konferencje były notowane wśród festiwalowych bywalców o oczko wyżej niż koncerty. Na przykład przedstawiciel „Literatury” zawsze nerwowo studiował doręczone dziennikarzom materiały i wciąż sprawiał wrażenie, że chciał o coś istotnego zapytać, ale coś mu jakby w tym przeszkadzało.

Na koncertach natomiast przeszkoda dla pani Wander byli pracujący fotoreporterzy. „Panowie fotoreporterowie” — jak się wdzęcznie wyraziła, Połknieć zresztą było więcej, nie tylko językowych, ale także wśród wykonawców i jurorów. Zaczniemy choćby od tego, że tajemnicza Komisja Artystyczna od lat odrzuca utwory proponowane na festiwal sopocki przez Czesława Niemena. Można go nie lubić, co udowodniła nieraz wspomniana Komisja, ale nie można lekceważyć faktu, że jest to piosenkarz klasy europejskiej. Niestety, z tajemniczych powodów organizatorzy festiwalu wolą lansować style piosenkarzkie pani Dolores Vargas i Hectora Cabrery — style taniutkie i przebrzmiałe, może jeszcze zyskujące aplauz w kabaletach Caracas i Sewilli, ostatecznie w Mszanie Dolnej. Bo w Mszanie Górnej zapewne woli się piosenkarzy o lepszym smaku artystycznym.

I w ten sposób, jak las-

kawy Czytelnik zauważył, od zeszlortocnej zgody na festiwal „taki, jaki jest”, przeszedłem do wybrzydzenia. Ale trudna rada. Tkwiąc w tej imprezie więcej niż raz, chciałoby się dostrzec w niej jakieś racjonalne jądro. Zgoda na igrzyska, lecz przecież konieczność ich istnienia nie wyklucza ambicji handlowych czy artystycznych.

Otóż artystycznie festiwal nie uzyska rangi, jeśli nie będzie podparty jakimś aktualnym autorytetem piosenkarzkim. Zapraszanie sław przebrzmiałych miła się z celem.

Ale może wobec tego na festiwalu zaczniemy zarabiać? To też trudna sprawa, bo organizatorzy uparli się, aby z sopockiego przeglądu nie robić giełdy piosenkarzkiej. Nie wiem czemu i pewno nigdy się nie dowiem, bo o tych sprawach mówi się tu raczej niechętnie. Nie wykluczone, że polska manufaktura rozrywkowa (bo na określenie — przemysł rozrywkowy — jeszcze nas nie stać) — ma jakieś istotne interesy z wytwórniami płytowymi i agencjami takich potentatów światowej rozrywki, jak Wenezuela czy Holandia. Trudno mi tylko zrozumieć, że polska piosenka może wejść na światowe rynki poprzez mało znaczące wytwórnie płyt, dzięki piosenkarzom debiutującym lub przebrzmiałym sławom. W efekcie więc nie przynosi festiwal ani sławy molojeckiej, ani pieniędzy.

Pozostają tylko igrzyska, maratony piosenkarzki, z którego wyłowić można parę ciekawych piosenek, aranżacji i wykonawców. Wyłowić z morza przeciętności. Ale przecież takie są prawa wszystkich igrzysk. Prawdziwi bohaterowie nie zawsze muszą znajdować oficjalne uznanie jury. Dla jednych będzie to Dolores Vargas, dla innych Warren Scharz. Jeszcze inni zachwycają się Hectorem Cabrera lub Ursulą Sipińską z jej cyrkiem w bardzo słabym (i niedobrym) stylu.

Może tak być musi? Może festiwal nie powinien lansować określonego, ambitnego, nowoczesnego piosenkarstwa, lecz prezentować cocktail z likieru kakaowego Balsa i żubrówki? Uczucia po tym festiwalu mam — podobnie jak ów cocktail — mieszane. Wypić go, oczywiście, można, ale upierać się przy jego wyszukany smaku — nie sposób.

JERZY WILMAŃSKI

— powiedział. — Nawet tytuły”.

Myślałem: Krzysztonik czy Maj? I biegłem swoim tropem. I nagle poczułem smród. Dwaj młodzi bracia Freda coraz częściej pojawiali się w kawiarniach i knajpach, otoczeni rojem dziewczyn i kolegów. „Szacunek mieli i sławę” — jak to śpiewa w „Odmieńcu” walsaty pseudochłopek z Lublina. Zaczęli odcinać kupony z akcji, których cenę podbiła śmierć. Kajtę objął główną rolę w amatorskim filmie, kasując pięćset dziennie. Byłem na projekcji: poruszał się prosto, zgrabnie, wyleczony z uszkodzeń kręgosłupa; jego aktorstwo nie budziło zastrzeżeń. Ten najmłodszy paradował po mieście z ogromnym psem, a kiedy się uśmiechał, był żywą kopią Freda: te same oczy i charakterystyczny, pogardliwy grymas ust. Jeszcze przed rokiem mówili o nim, że się ślacznie wyrodził: nie pije, nie pali, nie swawoli; dużo czyta, znakomicie się uczy. I oto widzę go na pełnych obrotach, w bra-

nie klubu, gdzie przesiadywał kiedyś jego legendarny brat. O co tu chodzi? Zeby podziwiać mity? Zeby dźwignąć rangę rodziny? Próbowałem wysondować, jak to było właśnie z tym ciałem. Jeden z najbliższych przyjaciół Kajtka zarzekał się na wszystkie świętości, że pogrzeb był fikcją, bo trumna, którą pochowano na cmentarzu, była całkowicie pusta. Drugi najbliższy przyjaciel twierdził autorytatywnie, że w pierwszej drewnianej trumnie spoczywała ze zwłokami Freda trumna metalowa, przytransportowana do kraju na pokładzie specjalnego samolotu-karawanu, za opłatą dwóch tysięcy dolarów. Trzeci przyjaciel lansował, gdzie się dało, plotkę (?) o malej, blazowanej puszcze, zawierającej prochy spalonego ciała. Która wersja jest prawdą? To nie ma znaczenia. Ważny jest szum, rwetes, domysły... Mają jeszcze pieniądze? Nie mają? Jeśli trumna była pusta — to krucho. Jeśli kryła drugie, metalowe dno — to daj Boże zdrowie...

Krzysztonik postawił na puszkę, wybierając złoty środek. Krzysztonik wyprzedził Maję. Krzysztonik, którego nieraz chętnie czytałem, kiedy improwizował sobie na temat bliżej nieokreślonych spraw: zakamuflowanych kolonii hippiesów, ukrytych ruletek, tajemniczych telefonów i jeszcze bardziej tajemniczych Marsjan — w konfrontacji z rzeczywistością obnażył nagłą swoją bezsilność. Grając w autentyczne nazwiska, posługując się faktami, półfaktami i detymi wymyślami ludzi o schorzałej pamięci — upitrasil, w przeciwnieństwie do Maja, kosmiczną bzdurę, metafizyczną bajkę o amerykańskich diablach i polskich gangsterach. Ja nie mówię, że to było nudne: „Gazeta Literacka”, którą zazwyczaj można kupić w Łodzi nawet w niedzielę, zniknęła do szczytów już w czwartek. W piątek prechernih kioskarze sprzedawali ją po dychu. W Klubie Książki i Prasy ustawiała się „do niej” kolejka. W knajpach i kawiarniach

przechodziła z rąk do rąk. Miejscowy dziennik, kierując się zdrowymi intencjami zaspokojenia ciekawości społecznej, rozpoczął serię przedruków, zasypany z dnia na dzień setkami listów protestacyjnych. Śledztwo w sprawie Becona i jego bandy, wytarte do znużenia na szpaltach wszystkich gazet świata, okazało się wobec rewelacji Krzysztonika jałową papką. Już nie chodzi o to, że Krzysztonik-detektyw wpadł na trop prawdziwego mordercy, zwyciężając w pojedynku z policją. Nasz „Święty” odnalazł przecież emigracyjnego pisarza polskiego o tajemniczych inicjałach SL — pewnie Stefka Lisiecka albo Styrmand Leopold — a ten zdjął winę z beconistów i przerzucił ją na barki rzeczywistych zbrodniarzy, których nazwisk, dla dobra śledztwa, Krzysztonik jeszcze nie ujawnił. Już nie chodzi o zagraniczne koleje losu Skarżyckiego; czarne msze, seksualno-narkotyczne orgietki, bruderszafty z gubernatorami i dyskusje z Kłasteckim;

waż na slipach i gotowa poetka. Wyrzywa ją ze szponów batuckiej szaj „Kłosa”, która wtargnęła na akademicką potańcówkę, wymachując groźnie kluczami? Nie! „Kłosa” nie pochodził z Balut, tylko z Polesia, z tak zwanych dobrych domów; grali jazz, tańczyli w balecie, uprawiali sport, biegali do szkoły; pili wprawdzie i bili na studenckich zabawkach, ale nie żelazem i bykiem, a pięścią i w bezpośrednim starciu z żądnym z nich Fred nie miał szans; był ostrożny, tchórzliwy i nigdy nie uwierze, że w kilka lat później, na wieczorne poetyckim, poturbował w obecności marynarzy kapitana statku. W kraju mieszka co najmniej stu facetów, z którymi Fred miał kiedyś na pieńku i którzy karčili go łagodnie: Bobek dał mu klapsa, Tadeusz Marciniak pstryknął go w nos, inni, lżejszej wagi panowie, wymierzili Fredowi premie w bramach i na ulicach, a on wysłał, że pada deszcz.

Zaczniemy od początku. Fred, student Politechniki, poznaje piętnastolatkę o bogatym doświadczeniu. Krzysztonik daje się złapać na fałszywe hasło „Ewa” i wali od razu komentarz: „ślepy los dostosował to imię do poetyki historii, w której wzięła udział swoim życiem”. Śmieszne. Przecież ona żyje. A poza tym: jeśli już została Ewa, to Fred powinien zostać Adamem; ten

Dalszy ciąg na str. 10

Bełchatowskie marzenia

Dalszy ciąg ze str. 1

wych, górniczych, oddalonych od rodzinnych chat o siedemdziesiąt, sto, trzysta, a nawet więcej kilometrów. Pełno tu tych „werbowników” ze Śląska, Pomorza i z niedalekiej Łodzi. Czasami naganiane po kilku na raz zjeżdżają, targi, przetargi, wydierają sobie ludzi, nieraz i po czekoladzie dają, od zwerbowanej głowy, jak ich brak rąk do pracy w przedsiębiorstwie przyciśnie. Kto już zdecydował ojcowlonę na tulaćkę zamienić, może w pracy wybierać. Od budownictwa w górskim zdrowym powietrzu Ustronia-Polany, po dalekie porty Gdańska i Szczecina. Ale oni tu wszyscy zawsze jakoś chętniej wolą kopalnię, I to nie tylko te śląskie, ale i dalej położone. Kiedy zeszłego roku gruchnęło w powiecie, że NRD-owskie (VEB) Gaskombinat „Schwarze Pumpe” do roboty na dwa lata przyjmuje, zjechało się chętnych chłopaków i dziewczyn z Grocholic, Kurnosa, Zdzieszulic, Szezerowa i zapisali się na tę robotę, na niemieckiej odkrywce, choć to przecież daleko i za granicą. A jak któremu drgnęła przy podpisie ręka, to mu powiedzieli to, co zawsze mówili i mówią stąd odjeżdżający: „jak jesteś frajer, to siedź, bo wszędzie lepiej, niż w Bełchatowie”. I jest to jedna z tutejszych prawd.

Przyjeżdżają ci ze Śląska, z Gdyni i ci ze „Schwarze Pumpe”. Na parę dni, na urlop. Niektórzy „Simsona”, tamten „Jawę” przylaszczy, inny zaświadczeniem o zdobytym zawodzie błyska. A chłopaki z Pabianickiej, co to z miłości do jednego bełchatowskiego kina, zostali, otwierają szeroko oczy, opowieści o nieznanym świecie, o nieznanym świecie, przy których błędna fotografia So-phii Loren, wpuszczone w kłamy ich szerokich pasów. Ale przyjeździ, często, gęsto, te swoje kolorowe gad-

ki pytaniami miękkimi przetykają: „a nie wiecie to, kiedy tu ta nasza odkrywka ruszy?”, albo „kiedy to wszystko nareszcie się zacznie?”. Widać, dać, że chętnie by już przyjechali, dość mają piosenki i nie takie znów z nich koczackie dusze, aby o swojej ziemi na amen zapomnieć, a i przecież fach górnicy, to budowlany, to znów szolarski, zdobyty w świecie, woleliby na własnej ziemi wykonywać. Co roku wyjeżdżają na jesieni do kopalni, czyste powietrze na zapylone zmieniają i co roku piszą do domów, do narzeczonych, że jeśli już mają pluća truć, to wolą na własnym, bo to zawsze inaczej.

Są też i tacy, którzy o-puszczają rodzinne strony całkiem inną drogą, tą szkolną, w mierzalnym trudzie latami, szczebel po szczeblu edukacji pokonując. Jeśli kończą technika gdzieś w Piotrkowie, Tomaszowie, nie ma już dla nich powrotu na własne. Pracy u siebie nie znajdują.

— Młodzież bełchatowska nie ma równego startu z inną młodzieżą przy rekrutacji do szkół, żyje na lasce innych powiatów, brak jej średniej szkoły technicznej — powiedział miejscowy inspektor oświaty, ujmując tym jednym zdaniem cały wachlarz bełchatowskich problemów od emigracji młodych w pogoni za nauką, przez kiepski stan miejscowego szkolnictwa, po postulat założenia tu średniej szkoły o określonym profilu technicznym, odpowiadającym potrzebom przyszłego Kombinatu Paliwowo-Energetycznego.

Nie lepsze ma tu perspektywy młodzież akademicka, pochodząca z tego terenu. A jest jej prawie setka i prawie wszyscy w uczelniach technicznych. Bo przecież o szansie energetyczno-węglowej Bełchatowa w podręcznikach geografii Polski już się uczyli

i wiele godzin w szkole na ten temat przewalowali. Dlatego wybierali AGH, WSI, a głównie zaś Politechnikę Łódzką z wydziałami, pasującymi jak ulał do tego Bełchatowa przyszłości.

— Przy złych układach start po studiach może być tylko fałstartem. Zawsze wolę przy tych pierwszych krokach mieć pomoc ze strony rodziny — powtórzył starą prawdę tegoroczny absolwent Inżynierii Chemicznej, rozglądający się za pracą w Łodzi, który Bełchatów cenil nie tylko ze względów rodzinnych, lecz widział w nim przede wszystkim możliwość uzyskania większych zarobków, jak przy każdej inwestycji, kiedy zapala się dla niej zielone światło.

Na razie jednak plonie czerwone światło dla Bełchatowa i tak, jak inni jego ziomkowie, musi młody inżynier szukać pracy gdzieś w świecie, dokąd odchodzi rokrocznie tak wielu. Od dziesięciu lat liczba mieszkańców Bełchatowskiego w wieku produkcyjnym nieustępliwie maleje. Ofiarowują ludzie swe kwalifikacje, sprawność mięśni innej ziemi i innym miastom, nosząc na obczyźnie w sercach wizję Bełchatowa, w którym znajdują kiedyś, być może, nowoczesną pracę przemysłową. Rozległa to wizja, utkana z tysięcy ludzkich wyobrażeń. Póki jednak powiat poszatkowany lichymi półkami, nie ma on dla siebie bogactwa płynącego z pracy rąk tych marzycieli. Bełchatów zdrowym powietrzem tylko stoi. Uboga to szata.

Jest jednak coś paradoksalnego w obecnej sytuacji powiatu. Ubóstwo szaty rekompensowane bogactwem przymiarek. Każdy widzi te ewentualne zmiany inaczej, każdy pod swoim kątem, lecz wszystkie rozległe. Jest coś porwijającego w tym założeniu, że jeśli by to wszystko ruszyło, to...

W październiku przyszłego roku minie 200 lat od utworzenia Komisji Edukacji Narodowej. W przeddzień tej rocznicy Komitet Ekspertów d/s Oświaty złożył Sejmowi PRL opracowany przez siebie raport o stanie oświaty dzisiaj, wraz z propozycjami, jakże koniecznych zmian w tej dziedzinie.

Komisję Edukacji Narodowej powołano do życia w chwili, gdy kraj „dźwigał się z upadku z najwyższym trudem i wyczerpał swe siły, aby organizować w nowych podstawach gospodarkę narodową, w którym trwały i rosły ostre, dalekie od rozwiązania konflikty społeczne, a administracja państwowa była wciąż jeszcze zdezorganizowana i mało skuteczna”.)

Komitet Ekspertów, podobnie jak Komisja Edukacji Narodowej — choć dzieli je dwa wieki — podjął w odległym i tak różnym czasie historycznym, podobną w istocie „wielką próbę odrodzenia narodu poprzez oświatę i wychowanie”.

Jak wówczas — tak i dziś — z różnych co prawda powodów — jakoś oświaty i wychowania staje się „narodowym byciem, albo nie być”. Wówczas bodaj z głównym naciskiem na moralne narodu przetrwanie — dziś — na wygranie, czy przynajmniej utrzymanie się w światowym wyścigu mózgów. Naturalnie, bez gubienia po drodze dbałości o morale, jako że:

A jednak obecne bełchatowskie przymiarki nie mają nic w sobie z pustego mizdrzenia się przed kryształowym lustrem. Władze tutejsze pragną, by nowoczesna szata, której krój szykuje się już niby dla pięćdziesięcioletniego Bełchatowa, została wciągnięta na odpowiednie, w najgorszym wypadku prawie odpowiednie kształty miasta i okolic. Ale, żeby tak było, nie należy czekać na boską mannę z nieba. I nikt tu na szczęście na nią nie czeka.

Pobudowano przecież niedawno basen z prawdziwego zdarzenia, od stycznia ruszył miejscowy PDK, choć władze wojewódzkie były mu kiedyś przeciwnie, uzasadniając, że lepiej czekać na zielone światło, które rozwiąże worek obfitości. Wypukiono pusty kościół ewangelicki z zamiarem przekształcenia go w miejską bibliotekę, za rok ruszy organizowany obecnie POSTIW w stylowym pomiechowskim pałacyku.

Są też decyzje i postulaty świadczące o myśleniu o przyszłości górniczo-przemysłowej Bełchatowa i potrzebach, jakie zrodzi nowoczesna struktura okręgu. W szkołach energetycznych, górniczych i budowlanych Łodzi i województwa rezerwuje się od bieżącego roku kilkadziesiąt miejsc dla bełchatowskiej młodzieży w związku z przyszłym zapotrzebowaniem na tego rodzaju zawody. Na bazie obecnej zasadniczej szkoły budowlanej powstanie ma technikum budowlane. Wskutek usilnych starań powiatu umieszczono w bieżących planach budowy Wiejskiego Domu Towarowego i pawilonów handlowych. Centrala Spółdzielni Spożywców „Społem” opracowuje w tej chwili plan potrzeb handlowych i produkcji spożywczej dla miasta już o rozmiarach pięciokrotnie większych od obecnego. Władze zaś planują w ra-

mach usprawnienia zaopatrzenia teraz i w przyszłości, uczynić WSS „Społem” jedynym odpowiedzialnym dystrybutorem w tej dziedzinie. Ten udany eksperyment przeprowadzony w dzielnicy Poznań-Winogrady bardzo jest tu wysoko oceniany. Władze więc robią, co mogą, a jak już czegoś nie mogą, to dobijają się o to usilnie. O środki na wodę dla miasta, o szybsze opracowanie planu ogólnego rozwoju Bełchatowa, by zapobiec w przyszłości absurdom, żeby na przykład nie budować teraz domków jednorodzinnych tam, gdzie za lat dziesięć będą musiały stanąć szpitale lub hotele dla górników...

Przedmiotem troski jest także rolnictwo. Śmieją się tu z przypuszczeń, że Bełchatów może zyskać przemysł, lecz stracić rolnictwo. Tak na początku zresztą przypuszczali ludzie. Mówili nawet, to nie węgiel, a dynamit, wysadzi nas z ziemi, którą uprawiamy. Tymczasem umiemy myśleć i patrzeć dalekowszrocznie, dostrzegli nowe szanse: wspólnego rynku zbytu i zamiany dotychczasowych upraw na warzywnictwo.

W Komitecie Powiatowym można do woli nasłuchać się o tym, jak to na początku nasiliły się obawy miejscowych rolników co do dalszej celowości inwestowania w ziemię. Fakt faktem, że obecny stan tymczasowości nie działa pobudzająco na rolnictwo i dezorientuje żyjących z ziemi. Ale przecież przedstawiciele władz jeździli i uświadamiali, że jak co do czegoś odchodzi, to nie od razu oskalpują całą ziemię, tylko stopniowo, fazami. Jeśli na przykład rozpoczyna w Łęka-kawach, to zanim do Kamienia i Osiny dojdą, można tam pogospodarzyć jeszcze z górą czterdzieści lat. A ci z Łękaw, jak im górniczy stan nie na rękę będzie, ziemię w powiecie zawsze dostaną bo po trzy, cztery podupadle gospodar-

stwa w każdej bełchatowskiej gromadzie się znajdują. A wreszcie jak już ktoś uważa, że ślub na zawsze z ziemią brał, to niech pomyśli, co by tu zrobić żeby do tego przemysłu gospodarkę dopasować. Pomyśleli widocznie ludzie, bo od niedawna Centrala Ogrodnicza rozgościła się w mieście i wazywa kontraktuje, których dotąd w powiecie przez szkołę powiększające by nie uświadczyli. Ale ludzie niecierpliwi są, wciąż pytają, jak, co, kiedy, jak długo mają jeszcze czekać na zapowiadane zmiany? Władze zaś cierpliwie odpowiadają, odpowiadają nawet sceptykiem nie wierzącym już, że cokolwiek się tu ruszy. I tak trwa dialog, w którym mimo, że każdy stara się trzymać ziemi i tego, co jest, wybiegając czasem myślą ku marzeniom o ośrodkach wypoczynkowych na osiemdziesiąt tysięcy miejsc nad zbiornikiem retencyjnym, o hotelach, nowoczesnym budownictwie, dworcu PKP i... wydajności z 28 ha/q zamiast dotychczasowych 20. Z tych to właśnie marzeń tkają władze bełchatowskie, niczym tutejsi chałupnicy, wizje świetności gospodarczej miasta i powiatu. Pełna gospodarskiej troski to wizja i ubolewania, że realność tak łatwo nie nadaża za marzeniem.

Kiedy autobus w drodze powrotnej rzucił znów na węgły jak rozhuwany koń, pomyślałem, że jest jedyna okazja dla socjologów, historyków i etnografów, dokonania opisu tej zielonej ziemi bełchatowskiej, zanim pokryje je ciemny, węglowy pył. Niech się nie śpieszą, jeśli powiat ma nadal zielony pozostać. Lecz jeśli nie, winni się przedko zabrać do roboty. Węgiel jest bowiem jak dynamit. Eksplodują na nim szybko nie tylko ludzkie marzenia, ale i czyny.

MAREK NEJMAN

HALINA CYWIŃSKA

KROK DO REWOLUCJI

W październiku przyszłego roku minie 200 lat od utworzenia Komisji Edukacji Narodowej. W przeddzień tej rocznicy Komitet Ekspertów d/s Oświaty złożył Sejmowi PRL opracowany przez siebie raport o stanie oświaty dzisiaj, wraz z propozycjami, jakże koniecznych zmian w tej dziedzinie.

Komisję Edukacji Narodowej powołano do życia w chwili, gdy kraj „dźwigał się z upadku z najwyższym trudem i wyczerpał swe siły, aby organizować w nowych podstawach gospodarkę narodową, w którym trwały i rosły ostre, dalekie od rozwiązania konflikty społeczne, a administracja państwowa była wciąż jeszcze zdezorganizowana i mało skuteczna”.)

Komitet Ekspertów, podobnie jak Komisja Edukacji Narodowej — choć dzieli je dwa wieki — podjął w odległym i tak różnym czasie historycznym, podobną w istocie „wielką próbę odrodzenia narodu poprzez oświatę i wychowanie”.

Jak wówczas — tak i dziś — z różnych co prawda powodów — jakoś oświaty i wychowania staje się „narodowym byciem, albo nie być”. Wówczas bodaj z głównym naciskiem na moralne narodu przetrwanie — dziś — na wygranie, czy przynajmniej utrzymanie się w światowym wyścigu mózgów. Naturalnie, bez gubienia po drodze dbałości o morale, jako że:

„dotworna to rzecz gdy się splątają razem stanowisko wysokie z umysłem miernym; godność najwyższa z życiem najpodlejszym; szlachetność w mowie z lenistwem w czynie; kunszt oratorski z całkowitą pustką treści; powaga na obliczu z lekkością obyczajów”.)

Przypomnieć się tylko jeszcze godzi polityczne i pedagogiczne credo Komisji Edukacji wyłożone we wstępie do programu jej działalności. „Srogie okoliczności i kłopotliwe zatrudnienia nie mogły przed prawodawcą Rzeczypospolitej troskliwością ukryć pierwszej narodów wszystkich potrzeby i istotnej towarzystwa ludzkiego twierdzy. Dostrzegła ona, że ćwiczenie i edukacja młodzi jest jedynym dla państw ciągłego uszczęśliwienia warunkiem. Czuje ta matka stroskana i widzi, że będąc na liczbie obywateli uszkodzona, na zdolności i przygotowaniu ich usług swoich całe ubezpieczenie swe zakładać powinna”.)

W nieszczęściu 200 lat później minister oświaty i wychowania Jerzy Kuberski, już po Uchwale VI Zjazdu i ogłoszeniu Programu działania resortu na lata 1972—75 powie:

„Istota sprawy polega na rzeczywistej zmianie koncepcji oświaty — właśnie na koncepcji jakościowej. Musimy w ogóle, jeśli można tak powiedzieć, przebudować świadomość szkoły polskiej.

„dotworna to rzecz gdy się splątają razem stanowisko wysokie z umysłem miernym; godność najwyższa z życiem najpodlejszym; szlachetność w mowie z lenistwem w czynie; kunszt oratorski z całkowitą pustką treści; powaga na obliczu z lekkością obyczajów”.)

1. Nim jednak Komitet Ekspertów zmiany owe zaproponuje, trzeba im przygotować grunt, usuwając z teorii i praktyki naszego szkolnictwa wszystkie dotychczasowe zaniedbania i schematy działania. Inaczej nie ruszymy z miejsca.

Nowe Ministerstwo Oświaty i Wychowania przystąpiło do pracy. Powołano do życia Główną Inspekcję Szkolną, która skontrolowała remonty. I zapewne m. in. jej w tym zasługa, że remonty poza 1 września przeciągną się tylko w 300 szkołach.

Już w lipcu trafiły do szkół przepisy wykonawcze do Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela. Nareszcie wszystkie jednocześnie i w jednym voluminie. Zakończono powoływanie do życia zapowiadanych pięć instytutów. Obsadzono je wybitnymi specjalistami. Na czele Instytutu Kształcenia Nauczycieli stanął prof. S. Kraw-

cewicz, a kierownikiem jego Rady Naukowej jest prof. J. Legowicz. Instytutem Pedagogiki kierować będzie nadal prof. Wincenty Okoń, jego Radą Naukową — prof. J. Wroczyński. Instytut Programów obejmuje doc. dr hab. M. Maciaszek, a Instytut Badań nad Młodzieżą — doc. dr hab. S. Mika.

Rozpoczęto prace nad powoływaniem oddziałów tych instytutów w województwach, przy czym w Poznaniu i Wrocławiu już je zakończono.

Równocześnie pracuje się nad sprawami koncepcyjnymi. Przygotowano m. in. szczegółową koncepcję kształcenia nauczycieli. Jak wielki jest to problem, świadczy fakt, że mamy w kraju 250.000 nauczycieli bez wyższego wykształcenia. Przy czym 120.000 z nich ukończyło studium nauczycielskie, a 80.000 licea pedagogiczne. Nie wszyscy jednak nauczyciele uczą tych przedmiotów, do których posiadają specjalistyczne przygotowanie. Jest takich nauczycieli 60.000 Np. historyk uczy fizyki, a matematyk oprócz przedmiotu głównego, jeszcze geografii.

Jak widać więc, problem kształcenia nauczycieli wymaga rozwiązań rewolucyjnych. Bo gdyby ich kształcić w tradycyjnym systemie, trzeba by rzecz przeciągnąć — jak mówi minister J. Kuberski — do roku 2010! Przygotowano więc koncepcję, która w najbliższym czasie przedłożona będzie Biuru Politycznemu KC

Cierpliwie stoję na dziedzińcu razem z młodymi Niemcami, Rosjanami, Anglikami i czekam aż otworzą się podwoje fromborskiej katedry. Przed chwilą wszyscy szukaliśmy wejścia, ale okazało się, że to właśnie tu, tylko trzeba poczekać... Czekamy więc przysłuchując się ostatnim akordom koncertu organowego wewnątrz kościoła. Przyglądam się pracy kilku młodych ludzi w harcerekich mundurach. Nieopodal murów kopią oni spory rów. Widzę jak jeden z Anglików podchodzi do pracujących przyglądając się pilnie zwalowi wilgotnej ziemi. Szepty Anglik stoi jakiś czas śledząc usypisko, i w pewnej chwili nachyla się i coś podnosi. W tym momencie otworzyła się kościelna furta. Stanęliśmy w ordynku gotowi do wejścia. Przejście jest ciemne, jednak wystarcza światła aby dostrzec w rękach szczupłego Anglika niewielki, zaśniedział-

cy harcerzy biorących udział w tej akcji, do Fromborka ciągną wycieczki ruchowe i szkolne, przyjeżdżają autokary zakładów pracy z całej Polski zwożąc do miasta Kopernika tysiące ludzi. Tu i ówdzie dostrzec można eleganckie autokary „Orbisu” z zagranicznymi wycieczkami. Trudno sobie wyobrazić, jak poruszają się w takich warunkach prywatne samochody z Polski, NRD, Czechosłowacji, Włoch, Szwecji, Francji, Holandii i licho wie skąd jeszcze.

Dla tych tłumów przyjezdnych harcerze co roku dekorują miasto kwiatami, i organizują rozmaite punkty usługowe. W tym roku, tuż obok pawilonu „Domu Książki” (który też sami zbudowali) ustawiono specjalne stoiska z pocztówkami, mapkami turystycznymi i książkami. Sprzedają najlepsze w swojej szkole członkinie spółdzielni uczniowskich, wcale schludnie wyglądające w harcerekich mundurkach.

Nie chcąc narażać się więcej, wyszedłem. W pobliżu sklepu spożywczego gdzie też trudno cokolwiek kupić (w pawilonie wybudowanym przez harcerzy), stoi kiosk z szydem „Gastronom”. Przed kioskiem spory taras, też dzieło harcerekich rąk, na którym ustawiono kilkanaście wygodnych stolików z parasolami. Okazuje się jednak, że jedynym ogólnodostępnym artykułem spożywczym jest tu piwo — napój kaloryczny, ale nie mogący zastąpić mi obiadu. Niektórzy z miejscowych są jednak innego zdania obiegając kiosk. Towarzyszą im młodzi ludzie. Na pewno uczestnicy jakiejś wycieczki, widać to po lekko przybrudzonych ubraniach...

Wśród tłumów powinni być i harcerze z terenu województwa. Chorągiew Ziemi Łódzkiej, jako jedna z dwóch w kraju, bierze udział w operacji „Frombork 1001” od samego początku. Chłopcy z Łódzkiego wyremontowali dwa domy

MACIEJ ZDZIENICKI

POD KRYPTONIMEM „F”

ty pieniążek — dość niezwykle trofeum na zagranicznej wycieczce. A może warto wrócić do tych wykopów? — myślę. Nie mam jednak szans, gdyż idący za mną blokują odwrót.

*

Frombork od siedmiu lat jest okupowany przez harcerzy. Co roku, latem rozbijają oni swoje obozy wokół miasta i w ramach akcji „Frombork 1001” pracują społecznie przy odbudowie i remontowaniu starych domów, przebudowie ulic i wznoszeniu nowych budynków ogólnej użyteczności. Harcerzy można więc spotkać wszędzie. Tuż za bramą, na stokach Wzgórza Katedralnego dziesiątki młodych ludzi ścinało drzewa porastające góry. Drzewa zasłaniają cały kompleks zabytkowych budowli, a ich obecności towarzyszy wilgoć, której tak nie lubią stare mury. Warczą więc piły i stukają siekiery.

Mieszkańcy Fromborka są żywo zainteresowani tymi wyrobami. Przystają więc i z oddali obserwują postęp prac — emia niedopalki „sportów”. Przywykli przez te siedem lat do tego, że latem ulice zaludniają się młodzieżą, a miastu przybywa nowych obiektów. A to młodzi wybudują hydroforne, a to oddadzą do użytku nowy pawilon handlowy lub kawał asfaltowej jezdni. Fajno jest. Niech budują.

Operacja „Frombork 1001” ma przynieść w tym roku budowę restauracji, apteki, poczty, dworca PKP, bosmanatu portu i odbudowę dwóch zabytkowych kanonów, a także kontynuowanie wieloletniego planu przebudowy i modernizacji ulic.

Tak szeroki front robót powoduje, że miasto położone na obszarze około 2 km kwadratowych, jest jednym wielkim placem budowy. Wśród zwalów ziemi, materiałów budowlanych, desek i rusztowań krąży tłumy. Oprócz kilku tysię-

W pobliżu katedry, u podnóża skarpy, funkcjonuje też poczta polowa, gdzie przy wygodnym stoliku można napisać do domu:

„Kochana mamusiu! Jestem we Fromborku i czuję się dobrze”.

Ja tymczasem czułem się coraz gorzej i postanowiłem poszukać apteki. Sprawa okazała się jednak nie taka prosta. W miasteczku apteki nie ma, gdyż wszelkie potrzeby zaspokajają placówka w odległym o 5 km Braniewie. We Fromborku jest tylko punkt apteczny zlokalizowany przy ośrodku zdrowia.

— Trzeba iść jakiś czas prosto a za domem z rusztowaniami skręcić w lewo, i już będzie ośrodek — objaśniał jeden z obywateli.

W ośrodku komfort. Klubowe fotele obite imitacją skóry łagodzą cierpienia pacjentów przed drzwiami gabinetów. Nigdzie jednak nie widzę tabliczki: „Punkt apteczny”. Kiedy wreszcie dobrałem przepłyując, okazało się, że poszukiwanego leku zabrakło. Tam też dowiedziałem się, że ból głowy to na pewno sprawa żółdka.

— Jak pan żyje, przyjdzie — poradono.

W miejscowej restauracji, do złudzenia przypominającej wnętrzem i zapachami, znane lokale gminnych spółdzielni, musiałem dobrą chwilę poczekać zanim kelnerka przerwała pogawędkę ze znajomym i odwracając się w moją stronę powiedziała:

— „Obiadów jeszcze nie wydajemy. Będą o 13-tej”.

Ta sama kelnerka powracając do przerwanej rozmowy powiedział:

— „Przyjeżdżają tacy różni ze świata, i stale zawracają głowę”.

mieszkalne, pracowali przy budowie hydroforu i przebudowie ulic. Wśród nich 15 osób posiada tytuł Honorowego Obywatela Fromborka, co jest wyróżnieniem otrzymanym gdy uczestniczy się w akcji więcej niż dwukrotnie. Są i rekordziści. J. Garczarzyk był już we Fromborku 6 razy. Przez kolejne wakacje pracowali też w tym mieście: S. Wojtasik z Belchatowa, J. Baran ze Skiermiewic, A. Junik z Tomaszowa i wielu innych. Zastępca komendanta Chorągwi Ziemi Łódzkiej — A. Gajda tak mówi o tej akcji:

— „Na początku było dużo prac porządkowych. Frombork był miasteczkiem nie tylko zniszczonym wojną, ale i zaniedbanym. Tylko nieliczne ulice miały bruki, reszta — nawierzchnię gruntową. Wystarczyło więc zebrać grupę młodzieży, a na miejscu zawsze znalazło się zajęcie. Później było inaczej, gdy przyszła kolej na inne roboty. Ale i wówczas mówiono:

— „Przyjeżdżajcie, a robota się znajdzie”. Praca zawsze była, ale nie zawsze potrafiono właściwie wykorzystać naszą pomoc. Bywało, że w jednym roku kopaliśmy rów, który w następnym roku zasypywano, bo okazywało się, że jeszcze nie czas na te wykopy. Nie było planu i nie myślano o koordynacji. Dopiero od dwóch, trzech lat wzięli na kilka miesięcy wcześniej co będziemy robili, a to umożliwia nam dobór odpowiedniej młodzieży. Do Fromborka jadą członkowie ZHP z różnych szkół średnich, najczęściej zawodowych — murarze, tynkarze, elektrycy itp. Szkoda więc tych niewykorzystanych we Fromborku możliwości, bo do zrobienia pozostało jeszcze bardzo dużo. Ale czy wszystkie mają robić harcerze? Chyba, że w ostatniej fazie włączą się do akcji zuchy...”

Biuro Politycznemu. Dziś słaj możemy o niej powiedzieć tyle tylko, że wychodzi na przeciw potrzebom i ambicjom nauczycielskim, których wymagania kwalifikacyjne Karty Praw i Obowiązków i tak już mobilizowały do nauki. Na studia wieczorowe i zaoczne zgłosiło się w tym roku siedmiokrotnie więcej nauczycieli czynnych w zawodzie, a na studia dzienne z deklaracją pracy w szkole — dwa razy tyle maturzystów niż w poprzednich latach. Nowa koncepcja kształcenia, dostosowana do zmienionego nauczania przedmiotów już od I klasy szkoły podstawowej, z pewnością wielu zaskoczy odważą, ale nauczycieli powinna zadowolili.

2.

Gotowa już jest niezwykle atrakcyjna i zatwierdzona koncepcja sportu szkolnego, której ogłoszenie nastąpić ma niebawem. Znów propozycja na miarę alarmujących potrzeb i dostosowania do takich warunków, jakie posiadamy. Sport i ruch, nie umniejszając w niczym zainteresowaniom intelektualnym, staje się główną formą spędzenia czasu wolnego dzieci i młodzieży. Sport w każdej szkole, w takich salach gimnastycznych i na takich boiskach, jakie mamy, bez zastanawiania się nad tym, czy są „wymiarowe”. A ponieważ np. basenów krytych i otwartych nie mamy w nadmiarze, wobec tego o-

bowiązkowa nauka pływania podczas wakacji, na kolo-niach i obozach. Oprócz tego masowe narty w terenie o odpowiednich warunkach. Narty i rower, nawet jako środki dojazdu do szkoły w sprzyjających warunkach atmosferycznych.

Również masowe — co nie znaczy byle jakie — obozy wędrowne dla młodzieży starszej i cotygodniowe, szkolne, osiedlowe, dzielnicowe, regionalne sobotnio-niedzielne zawody.

3.

W myśl zapowiedzi resortu, proces dydaktyczny będzie się w miarę lokalowych i lokalnych warunków, zamykał w całości i w szkole. Po lekcjach, odrabianie dzisiejszych prac domowych ma się odbywać w szkole pod kierunkiem i przy pomocy nauczyciela. Ta sprawa ściśle się zresztą wiąże z programem dobrego startu dziecka — opracowanego przy współudziale łódzkich nauczycieli — i likwidacją już w tym roku szkolnym drugoroczności w klasach I—IV.

Ten ostatni projekt, najbardziej dziś dyskutowany, budzący wiele oporów, nie jest bynajmniej pomysłem „szalonych Polaków”. Wiele krajów w Europie — prowadząc rzetelne badania możliwości dziecka i skutków drugoroczności — zniósł ją administracyjnie. Tak będzie i u nas przy równoczesnym rozwijaniu szkolnictwa specjalnego i nauczania dzieci opóźnionych w rozwoju, czy

niepełnej sprawności umysłowej.

A przy okazji ciekawostka: dziewięcioletnia szkoła podstawowa Japonii nie zna drugoroczności w całym cyklu nauczania.

4.

Jako główne zadania szkolnictwa minister Jerzy Kuberski wymienia: podnoszenie i wyrównywanie poziomu szkół słabszych z jednej strony, z drugiej zaś — stworzenie silnych, zbiorczych szkół gromadzkich. Pierwsze zdaje się nie wymagać szerszego komentarza. Drugie wyjaśnia się niejako automatycznie, gdy przypomnieliśmy, że 60 proc. dzieci i młodzieży mieszka na wsi. A tam, jak wiadomo, i najgorsze warunki lokalowe i takie gromady, gdzie nie ma ani jednego nauczyciela z wyższym wykształceniem.

Koncepcja oświaty gromadzkiej jest w opracowaniu, a 10 takich szkół rozpoczęło już pracę z nowym rokiem szkolnym. Będą to z prawdziwego zdarzenia centra oświatowe i kulturalne, których dyrektorzy decydować będą m. in. o podziale gromadzkiej funduszy, ze zrozumiałych względów dbając, by na oświatę ich nie zabrakło. Z koncepcją oświaty gromadzkiej ściśle wiąże się dbałość o warunki mieszkaniowe wiejskich nauczycieli. Dla nich stworzono możliwości budowy domków jednorodzinnych.

Już choćby z tego przekładu jasno wynika, że nowe koncepcje w oświacie nie

są wyizolowane, lecz ściśle powiązane z innymi dziedzinami reform. Nie może być inaczej, skoro chcemy dostrzymać kroku światowemu wysięgowi mózgow. Reforma oświaty, a przekazane dziś zaledwie sygnały nowego w tej dziedzinie, są przecież tylko etapem przygotowań do rewolucji, której treść, czas i właściwe kierunki uderzenia sformułuje właśnie Komitet Ekspertów, staje się początkiem, nieodzownym warunkiem spełnienia wszystkich narodowych potrzeb i ambicji.

Czas przecież zrozumieć, że „jest to sprawa decydująca o bycie narodów XX wieku. (...) Losy państw i ustrojów społecznych w naszych czasach decydują się w znacznej mierze w laboratoriach naukowych w katedrach uniwersyteckich. Rzeczy i narody, które tego nie rozumieją, które nie zapewniają ludziom wykształcenia na współczesnym poziomie i które nie wymagają od swoich obywateli najwyższych kwalifikacji, są skazane na zagładę. I to nieuchronnie. Cywilizacja współczesna jest cywilizacją naukową i kto się do niej nie przystosuje, zostanie zgnieciony”.

5.

Sluchając ministra Jerzego Kuberskiego na ostatniej konferencji prasowej, a dzień wcześniej na kameralnym spotkaniu z pięcioposobnym Zarządzeniem Klubu Publicystów Oświatowo-Wy-

chowawczych przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, ani przez moment nie odnosił mi wrażenia, że mamy do czynienia z niepoprawnym marzycielem.

Choć ten „wulkan energii” — jak go z sympatią nazywają najbliżsi współpracownicy — nie ukrywał przed nami ciężaru odpowiedzialności, nazywając po imieniu te punkty skostniecia systemu oświaty, które ruszyć będzie najtrudniej. Poinformowawszy nas jeszcze — co skrupulatnie przekazuje czytelnikom — że resort oświaty otrzymał zaskakująco bogatą ofertę współpracowników od najwybitniejszych polskich naukowców — nie ukrywał przecież, że najbardziej się obawia tak dobrze znanego, paraliżującego polskiego „nierealne, bo obiektywne trudności”.

„Realizacja wszelkich uchwał możliwa jest wtedy, gdy stoją za nimi siły społeczne, których interesy związane są z tą realizacją. To znaczy, gdy układ instytucjonalny jest dostatecznie sprawny, by przeciwstawić się działaniom utrudniającym realizację, a wynikającym z inercji, bezwładu, wygodnictwa, aseku-rancja itp. Są bowiem w Polsce ludzie niezainteresowani zmianami, obawiający się zmian, a ich lek nie jest bynajmniej irracjonalny. Wynika z obawy, że zostanie naruszony dotychczasowy, pozytywny — z punktu widzenia danej jednostki czy grupy ludzi — stan rzeczy”.

6.

A do optymizmu, czy może ściślej realizmu, upoważniają nas pewne analogie historyczne. Komisja Edukacji, wbrew wszystkim nie sprzyjającym okolicznościom, stworzyła nowy program nauczania i wychowania (nie mniej rewolucyjny na owe czasy, niż to, co nas czeka), nowe formy organizacyjne pracy szkolnej, wprowadziła do niej nowe treści. Zaproponowała nowy ustrój i sieć szkolną, jako system oświaty publicznej. Narzucała go z góry, drobniawo, krok po kroku, pilnie dbając o jej rozwój. Przy tym, w biegu niejako, zdobywała i porządkowała fundusze na konsekwentne wdrażanie reform.

Przecież jednak w ciągu 10 lat stworzyła „wielki kodeks nowoczesnego systemu oświatowego, jakim były dane w roku 1783 Ustawy Komisji Edukacji”. Większość z nich, dzięki własnej konsekwencji i wydatnej pomocy tych, którzy byli „za” nie tylko w słowie, ale w codziennej pracy. Jesteśmy przecież mądrzejsi o dwa wieki...

HALINA CYWIŃSKA

1 Bogdan Suchodolski „Komisja Edukacji Narodowej”, Warszawa 1972 r.
2 Mateusz z Krakowa, za B. Suchodolskim, tamże.
3 Bogdan Suchodolski, tamże.
4 Jerzy Kuberski, z wywiadu w „Polityce”, nr 30, Warszawa, 22.VII.72 r.
5-6 Jan Szczepański „Rozważania o Rzeczypospolitej”, Warszawa, 1971 r.

Nie zdążyła się nawet Baśka porządnie rozejrzeć po szkole ani bliżej poznać z koleżankami, bo po trzech dniach zlapał ją hongkong. Bity tydzień leżała płacikiem szpikowana przez matkę, (która niemal równocześnie z nią zachorowała) ocyteracyjną i innymi paskudztwami. W głowie jej huczało, jakby miała w niej taką maszynę do wiercenia w zębach. Lekarka z rejonu, miła, starsza pani, miała już chyba ze trzydzieści lat, przychodziła do niej prawie dzień w dzień, chociaż miała w tym czasie zatrzaśnięte wizyt domowych. Bała się o Baśki opony, o płuca też, choć te ją nie bolały. A kiedy Baśka zaczęła powoli wracać do zdrowia, przyniosła jej w prezencie album z kolorowymi fotografiami dawnej i obecnej Warszawy. Baśka nie posiadała się z radości. Godzinami przyglądała się zabytkowym kamieniczkom na Starym Mieście, Belwederowi, Łazienkom Królewskim, statkom sunącym po Wiśle na tle błękitnego nieba z lecącym samolotem. Ale najczęściej i najdłużej przyglądała się Baśka Zamkowi. Była to, naturalnie, stara fotografia z 1938 roku. Miał dwie piękne wieże, na jednej z nich lopotał sztandar polski. Chociaż Warszawa leży dość daleko i Baśka wszystkiego dwa razy w niej była, cieszy się, że Zamek nareszcie zostanie odbudowany i będzie dokładnie taki sam jak był wtedy, i w tym samym miejscu. Tak że, gdyby — rozmyślała Baśka — cud się taki zdarzył, że któryś z naszych królów ocknął się raptem w trumnie, wstał i przetrął oczy, to nie musiałby wcale błądzić, prost

łam jego imienia: Wypisał mi na kartce jak należy robić przerabiane w klasie zadania...

— Wyjątkowa klasa! To na pewno zasługa tej wazszej wychowawczynie.

— Czy mamusia słyszała, jak ona wczoraj przemawiała na tym zebraniu przedzjazdowym! Fajnie wszystkim przgadała! To jasne, że grypa u dzieci robotników to jest to samo choróbsko co grypa u dzieci urzędników! Dlaczego więc dotychczas tak było, że robotnikom za czas opiekowania się nad chorymi dziećmi wypłacano tylko jakiś tam zasiłek?

— Dużo, bardzo dużo było różnych niedociągnięć... przeoczeń... Ale podobno mają się za to wziąć... Już coś niecoś zmieniło się na lepsze... Nie będzie się już także takich klitek budować, jak to mieszkanie pani Wiśniewskiej, co to nie ma nawet gdzie kroku zrobić jak na wieczór porożkłada wszystkie ścianolózka.

— Jak patrzę na nasz sufit, to wydaje mi się, że za chwilę oskoćce do niego, tak jest nisko...

— A nie przesadzaj! My tu baję, baję a o lekarstwach zapomnieliśmy.

Po raz pierwszy, bez żadnych przekomarzań Baśka lykneła drażetki i wypila syrop.

Chyba Eli zdradzę tajemnicę naszego skarbu. Na niej można będzie polegać... A ja nie znoszę tajemnic. Tacie ani mamie nie powiem, bo oni we wszystko wierzą, nawet w bociany, tylko nie w skarby! Mieliby tylko z tego ubaw! Dobrze, że tej durnicy Beacie nie powiedziałam! Wszystkim by roztrąbiła! Oj, dobrze, oj dobrze, że jej tato jeszcze nie wrócił.

Do aktorek, w obawie, żeby jej nie wyśmiali, nie przyznała się.

Dopiero kiedy Ela pochwaliła się swoim bogatym zbiorem fotek, Baśka odparła jakby od niechcenia:

— Też mam sporo... ale to już niemodne hobby. Do stałam kiedyś od koleżanki... O niebo wolę widokówki...

— O tak, tak. Widokówki to coś lepszego niż atlas. Z nich się można dużo nauczyć... Poznać świat... — tonem mentorskim stwierdził Szymek.

— Dwa dni będzie pojutrze, jak zaprzestałeś składania fotki, więc co się wydurniasz — wypomniała mu Ela.

— To było dawno i nieprawda — zacerwienił się. — Idziecie dziś do klubu? — spytał szybko.

— Jeśli zdązę odrobić lejbę! Zapisz się i ty — zwróciła się Ela do Baśki. — To szalowy klub. Tu, niedaleko na Rodakowskiego...

— Jestem ciekaw, czy wiecie, kto to był Rodakowski? — spytał Szymek z miną mędrca.

— Kto jest ciekawy niech nos wsadzi do gorącej kawy! — Ela żartem zbyła pytanie.

Baśka podobnie jak i Ela miała niezbyt mądrą miętę, ale udawała, że wie.

— No to cześć! — powiedziała Baśka i wywijając siałką na książki skreśliła w stronę swojego bloku.

Jeszcze ciągle nie może się Baśka przyzwyczaić do zakładania ciapci. Znowu całą podłogę w przedpokoju zapaskudziła błotem, bo chociaż to grudzień takie są roztopy, jak wiosną. W mieszkaniu pachnie pastą

HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA

NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY...

(Fragment powieści)

z grobu popędziłby do swoich komnat... Tego dnia, kiedy pani doktor pozwoliła jej pierwszy dzień wyjść na powietrze, zarządzono zamknięcie szkół na dziesięć dni. Baśka nudziła się jak mops i któregoś dnia matka, zmęczona jej naleganiami, pozwoliła Baśce pojechać na „stare śmiecie“ i odwiedzić sąsiadów.

Wyprawa była wyjątkowo nieudana: chłopaki leżeli w łóżkach, siostry Jacka tak samo, a Beata aż tak była chora, że stała się niemową. Kosowa twierdziła, że Beatę „złapał cug“ i przez to ma szyję jak banie. Kosowa smarowała jej szyję „spirtem mrówczanym“. Oznajmiła Baśce z dumą, że to „spirt“ prawdziwy, nie jakiś tam podrabiany jaki sprzedają na rynku, lecz własnej roboty. Kosowa bowiem nałapała w butelkę mrówek i zalała je spirytusem. Baśce tak było żal tych biednych mrówek i taka była o nie wściekła na Kosową, że prawie nawet ucieszyła się, że ten sprytus guzik Beacie pomógł. Nawet jej zaskodził.

Po kilku dniach Baśka też zachorowała na świnkę. Zaraziła się najwidoczniej od Beaty, bo to przecież była świnka, a nie żadne tam „cugi“, których nie ma na świecie. W domu była przez to rozróżba. Kolasinśki pieklił się na żonę, że puściła wtedy Baśkę do Beaty, bo „świnka to jest — mówił — po hongkongu największa cholera“. Baśka chciała zaproponować, bo ojciec przecież nie miał racji: świnka to jest świnka, a cholera, to cholera... ale nie mogła nic powiedzieć, bo też jej język przez to opuchnięcie szyi kółkiem stawał w gardle. Pani doktor przyniosła teraz Baśce widokówki z Paryża, Montrealu, Scrantonu a nawet z Afryki, gdzie przez pół roku była, jak mówiła, z ekipą polskich lekarzy i tam leczyła małych Murzynków nad rzeką Kongo, w której pływają jeszcze prawdziwe krokodyle. Jednak Baśka nie cieszyła się już tak bardzo z tych widokówek. Miała już dość tego ciągłego leżenia, lykania świnstw, a na sam widok mleka czy kefiru dostawała teraz torsji. „Najświętsze słowo honoru — powtarzała — że ostatni raz piję to świnstwo! Już nigdy w życiu...“

Kolasinśka otrzymała od doktor zwolnienie z pracy na opiekę nad Baśką. Sama czuła się jeszcze bardzo osłabiona po przebytej grypie, robiła więc wszystko na zwolnionych obrotach. Niezmiernie męczyło ją tarcie marchwi na sok, bo w mikserze jak na złość wyślądził silniczek, a soku butelkowanego, ze sklepu, Baśka za nie teraz nie chciała wziąć do ust. W ogóle stała się przez te choroby kapryśna, uparta, a chwilami złośliwa. Ponieważ nie przypała jej do gustu tytuł książki, którą kupił jej ojciec, nudziła się, a jednak nie przeczytała ani linijki. A gdy mimowoli któreś z rodziców napomknęło, że powinna od czasu do czasu zajrzeć do podręczników, bo nabierają się zaległości i potem nie da rady ich nadrobić, kwitowała uwagę zdaniem: „Mam w nosie szkolę i już!“

Ktoregoś tam dnia świnki wpadła do niej całkiem niepodzianie nowa koleżanka z tej samej ławki. Zdumienie jej było tym większe, że Ela w odróżnieniu od innych dziewcząt czy chłopców, którzy zasympywali ją pytaniami: „Do jakiej budy przedtem chodzilaś? Gdzie mieszkasz? Ty, zbierasz aktorki?“... Ela odzywała się do niej tylko w sprawach czysto szkolnych, chociaż zawsze dawała przy tym dobre rady: „Margines w zeszytach do matmy musisz zrobić od razu w całym zeszytach! Pamiętaj, ona wymaga, by znaki działań pisać zawsze na poziomie połowy cyfry. Polonistka nie lubi wyświechtanych okładek“. Ela ma czarne, grubsze od pięci warkocze i wielkie czarne oczy z wywinętymi jak spikerka w telewizji rzęsami. O niebo ładniejsza niż kudły Beaty. Nie widziała Eli, ale przez uchylone drzwi doskonale rozpoznawała jej głos: „Codziennie będę przynosiła Basi temat zadanych lekcji. Nasza pani i cała klasa pozdrawia Basię i życzy jej, żeby jak najszybciej wyzdrowiała.“

Z różowych alpejskich fiołków, które jej Ela przyniosła, też się Baśka bardzo ucieszyła, chociaż kwiatki po pół godzinie zwiędły. Wyjęła je z wody i równiutko rozłożyła na bibulce, po czym nakryła je drugą bibulką i poprosiła matkę, żeby wsunęła je pod stos książek.

— Miła jest prawda?
— Ogromnie... Cieszę się, że z nią siedzisz. Dzięki niej może nie będziesz miała aż tak dużo zaległości...
— W ogóle nie będę miała! Nawet matkę nadrobię! Jest w naszej klasie taki jeden piegus, nie zapamięta-

Teraz Baśka zaczęła w myślach przedrzeźniać wazniacki głos Beaty, kiedy czytała jej fragment listu od swego taty z Egiptu: „Ze zadanie nie cierpiące zwłoki i walka przetargowa z firmami kapitalistycznymi“ zatrzymują ją go, niestety, jeszcze na czas jakiś. Ależ się ta zazdrośnica musi wściekać, że tak długo nie dostaje tych zagranicznych prezentów.“

Od tygodnia Baśka chodzi już do szkoły. Dziś pierwszy raz odpowiadała na ochotnika z matmy. Doskonale jej poszło i pani ją pochwaliła, że po tak długiej chorobie orientuje się w materiale bieżącym. Postawiła jej czwórke. Na lekcji wychowawczej z kolei wychowawczynie ją chwaliła za tę czwórke. Baśka oczywiście powiedziała, że to dzięki Eli i Szymkowi, ale pani nie dosłyszała, bo przeszła nad tym do porządku dziennego, znaczy znowu wzięła się za wyczytanie z notesu tych, co nie noszą tarcz i spóźniają się na lekcje.

— Wyskoczyłaś jak wariatka spod zielonego kwiatka! Przecież koleżanka koleżance musi pomagać — szepnęła Ela z wyrzutem. — Takie jest szkolne prawo...“

— Aha... — przytaknęła rozpromieniona Baśka gapiąc się jak sroka w kość na koleżankę. „Z niej chyba będzie prawdziwa przyjaciółka... — przemknęło jej przez myśl. — Taka od serca, której można każdą, nawet najgrobowszą tajemnicę spokojnie powiedzieć...“

Ze szkoły wracały razem. Przyczepił się jeszcze do nich Szymek. Był o głowę od nich wyższy, chudy i z twarzą tak gęsto upstrzoną piegami, że mogłoby się wydawać ma tylko właściwie jedną piegę, ale za to na całą twarz. Właściwie to go wcale te piegi nie szpecily. No i oczy miał ładne jak Łazuka. To on przysyłał Baśce przez Elę rozwiązania nowych zadań z matematyki.

— Gdybyś kiedyś miała jakie sęki z matmy, możesz na mnie liczyć. Dzisiaj się popisałaś na sto dwa!

— Wiesz, jak go klasa ochrzciła? — szepnęła jej na ucho Ela. — Szymon patyk, matematyk! Wiesz, on w życiu nie miał z matmy czwórek, tylko zawsze piątki.

— Za to z ciebie histeryczka pierwsza klasa! Skąd ty wiesz o tych różnych Karolach Lysych? Bolkach Płatonych i Ryszardzie Kozie Serce?

— Nie kozie, tylko lwie i uwielbiam różnych śmiałych wodzów!

— To może i Hitlera? — sarknął wydymając z pogardą dolną wargę.

— Ty... matematyk głupi jak patyk! Ja bym tego bandziora, gdyby żył, posiekała na drobne kawałki i nie a nic nie było by mi go żal... Ty, a jakie są twoje pasje? Znaczy się, co zbierasz?

— Bardzo stare monety — kłamała Baśka jak z nut.

EWA FILIPCZUK

★ ★ ★

*tańczą złote blaszki mostów
w falach rybich w łuskach rzek
nie odchodźmy jeszcze sierpień*

*jeśli latem oczy moje
były migotliwą wodą
jeśli mnie kochałeś latem*

*czy jaskółki kłamstwem będą
twoje niemilkące dłonie
w rybim blasku rzek sierpniowych*

*kiedy o jesieni taniec
złotych mostów ciężkich powiek
piękno oczu mych przestoni*

do podłogi a może goździkami, które wczoraj przyniosły koleżanki z mamy pracy. Baśka chwyciła szmatę i przetrąla podłogę. Zaścieliła swój tapczan, wytarła kurze na biurku. — Tę zazdrośnicę Beatę, jak zobaczył mój pokój z miejsca coś trafi — pomyślała z radością. Nawet się nie domyśla, że mam taki bombowy pokój. Dobrze, że mi mama zakazała wygłupów z rozwieszaniem aktorek. Jestem przecież już dorosła... Te słoneczniki tego zagranicznego malarza, co obciął sobie ucho, żeby ucieszyć tym jedną panią, są naprawdę jak żywe. A takiego dywanu w najrozmaitsze liście mama Beacie też nie kupi, bo to tylko po znajomości można dostać. Może jej się nie będzie podobalo szkło na moim biurku? Mam ją w nosie! Ona się przecież na niczym nie zna. Na każdym porządnym biurku powinno być szkło... Przez zazdrość powie, że moja lampa do kitu, bo podobna do naftowej. Teraz takie są najmodniejsze. Przypomniała sobie w porę, że jeszcze nie obrala ziemniaków. Żebym tylko nie zapomniła zapytać tatę o tego Rodakowskiego... Czy to nie ten bohater, co zginął pod Kockiem? A może go Niemcy wykończyli w Oświęcimiu? Po każdej wojnie jest strasznie dużo bohaterów, więc skąd można o wszystkich wiedzieć? A może to ten, co zabił fabrykanta na Widzewie? Kiedyś tato opowiadał o tym fabrykancie: był bardzo niedobry dla robotników, mało im płacił a jak strajkowali, to wezwał policję, bo wtedy była taka carska policja i ona strzelała do ludzi. Przed wojną było bardzo niedobrze dla robotników i biedni ludzie, żeby nie głodować chodzili do takiej kuchni, gdzie im dawali mało tłustą zupę... Fabrykantom było dobrze, bo mieli forszę. Jeden to miał nawet tak cholernie dużo, że chciał sobie podłogę zamiast klepkami wyłożyć złotymi pieniędzmi, ale car się na to nie zgodził. Może przez zazdrość? Jeśli mama pozwoli, zapiszę się do klubu. Ciekawe, czy Elka na swoje urodziny zaprosi Szymka? Chociaż z niego za wielki przemądrzałek! Jego tato jest kapitanem statku handlowego, ciągle jeździ po różnych morzach a jak ma wolne, to pewnie mu opowiada swoje różne przygody z Afrykanami i to przez to... Ale się mama ucieszy z czwórki z matmy! To przecież od dwóch lat pierwsza czwórka. Muszę się porządnie wziąć za matkę. Szkoda, że tato dopiero za dwa miesiące zostanie inżynierem... Pewnie dlatego nie obstalował jeszcze tabliczkę z nazwiskiem na drzwi. Beata pięknie, jak się dowi, że już wkrótce założą nam telefon... Wszyscy myślą, że jesteśmy bardzo bogaci, bo mamusia ma futro karakulowe, nie zwykłe wsiowe barany jak matka Beaty. Co z tego, że kupiła je mama w komisie już używane. Przecież na nim nie pisze, że ktoś już przed mamą w nim chodził... Ojejku, ile ja tych ziemniaków naobierałam! Starczyłoby dla dwóch pułków ułanów! Ulani byli śliczni — przypomniał jej się występ „Mazowsza“, na którym była wczoraj z mamą w hali sportowej. Gdy zaczęły tańczyć mazurą, jednej „desie“ w czarnym kapeluszu, ciurkiem lzy ściekały po policzkach. A jak mama się nie zgodzi, żebym zapisała się do klubu? To powiem, że idę do Eli, bo ma mi wytłumaczyć matkę. Nie! Powiem prawdę! Mama zrozumie, że muszę mieć przyjaciółkę... Sama w czasie mojej choroby bardzo Elkę wychwalała i polubiła ją.

— Holla! Holla! Proszę pana podłoga froterowana! — powitała ojca, jak zawsze, kiedy ojciec chce wtarabanić się w butach do pokoju.

— Wykapana z ciebie mama! Cóż to, mam być niewolnikiem waszych podłóg? Kto ważniejszy, podłoga, czy ja? — powiedział ojciec z powagą, ale uśmiechał się kącikami ust, jak zwykle, gdy jest w dobrym humorze. — Maluczko a każecie mi fruwać, jak aniołowi! Proponuję, żebyś w wolnej chwili porobiła wywieszki: „Zabrania się chodzić po podłodze!“ „Palenie papierosów wzbronione, bo dym szkodzi palmie“, „Chrapanie surowo wzbronione ze względu na sąsiadów“.

— Nad czym tak debatujecie? — spytała matka po powrocie z biura. Zerknęła do kuchni. — Dawno ziemniaki wstawione? — i nie czekając na odpowiedź naciągnęła na siebie podomkę. — Piorunem będzie obiad. Utrę tylko ze trzy marchewki do kwaszonej kapusty. — Była dziś w wyjątkowym nastroju. — Wiesz? — zwróciła się do ojca — „stary“ powiadomił mnie oficjalnie, że od pierwszego dostaje trzysta złotych podwyżki!

Profesor Alicja Dorabialska

Ostatnio prof. Alicja Dorabialska obdarzyła czytelników interesującą autobiografią pt. „Jeszcze jedno życie”. Autorka tych wspomnień, które czyta się jak najbardziej porywającą pozycję beletrystyczną, jest od 1945 r. związana z Łodzią, bowiem na miejscowej politechnice kierowała Katedrą Chemii Fizycznej jako profesor zwyczajny.

Wybitna uczona była uczennicą Marii Skłodowskiej-Curie i Wojciecha Świętosławskiego, który w przemożny sposób ukształtował jej oblicze naukowe. Autorka „Jeszcze jednego życia” kreślił też wzmruszeniem także portrety ludzi związanych z nią więzami

naukowymi, uczonych tej miary co profesorowie Jan Zawadzki i Józef Zawadzki, ojciec Tadeusza, późniejszego „Zośki” z „Szarych Szeregów”. Z tymi uczonymi, jako asystentka politechniki, zawarła autorka szczerą przyjaźń, utrwaloną i pogłębianą przez wspólnotę zainteresowań zawodowych oraz rozszerzoną o grono wspólnych a bliskich jej koleżanek i kolegów. Toteż przez łamy „Jeszcze jednego życia” przewija się wiele znakomych postaci z przedwojennego i powojennego środowiska chemików warszawskich, łwowskich i łódzkich, z którymi prof. Dorabialska dzieliła trud i pasję naukową i z którymi

serdecznie się przyjaźniła. Tej właśnie przyjaźni owianej sentymentem i humorem, poświęcone są liczne partie zbeletryzowanej biografii. Poznajemy w niej akty drobne i duże z życia osobistego autorki i jej bliskich, które wyznaczały rytm istnienia w ciągu siedemdziesięciu kilku lat.

Autorka wspomina z sentymentem swoje rodzinne miasto, Sosnowiec, wówczas leżące na granicy trzech zabobów, w którym spędziła lata szkolne. Ze wzruszeniem informuje o ostatnim swoim etapie edukacji, który dokonał się w Warszawie, o chwilach bez troski zabawy na letnisku w Wólminie, wreszcie o studiach zrazu w Warszawie a następnie w Moskwie, przerywanych przez wybuch Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Dalsze fragmenty pamiętnika przenoszą nas na Politechnikę Warszawską do katedry prof. Wojciecha Świętosławskiego, rozwijającego talent naukowy młodej asystentki, pomimo początkowej niewiary w walory intelektualne kobiet. Jak dałec jej promotor naukowy zarzucił powyższy pogląd niech świadczy fakt, że stał się wielkim ordędownikiem sprawy przekazania na początku lat trzydziestych,

młodej wówczas doc. Dorabialskiej, jednej z katedr chemicznych na Politechnice Łwowskiej. Tym samym trzydziestodmioletnia uczona weszła do dziejów nauki jako pierwsza kobieta w Polsce, która otrzymała tytuł profesora politechniki. A pikantnym szczegółem w tej historii obśadzania Katedry Chemii Fizycznej na Politechnice Łwowskiej jest fakt, iż o nominacji zdecydował Józef Piłsudski, do którego zwrócił się w tej sprawie min. Wacław Jędrzejewicz, licząc na negatywne ustosunkowanie się marszałka do sygnatariuszki świeżo podpisanego protestu brzeskiego. Jednakże przeliczył się, gdyż Piłsudski zgodził się na przesłanie nominacji prof. Dorabialskiej do podpisu prezydentowi Mościckiemu, notabene byłemu profesorowi chemii.

W taki sposób zdecydowała się los uczoney, z pewnością największej indywidualności po Marii Skłodowskiej-Curie w dziedzinie chemii, w kręgu Polek. Bez wątplenia dla sukcesów naukowych nie bez znaczenia był dwukrotny pobyt na stypendium w paryskim Instytucie Radowym, kierowanym przez naszą rodaczkę, dwukrotną laureatkę Nagrody Nobla, Marię Skłodowską-Curie, ponieważ roz-

szerzył horyzont naukowy Alicji Dorabialskiej, wzbogacił jej warsztat naukowy i wytyczył nowe perspektywy pracy badawczej. Podobnie jak wielomiesięczny kontakt naukowy w Pradze na Uniwersytecie Karola ze sławnym chemikiem czeskim, prof. J. Heyrowskim, przyszłym laureatem Nagrody Nobla.

Lata spędzone na stypendiach naukowych pod kierunkiem tak wielkich autoritetów były dla Autorki okazją, aby pisać przede wszystkim o tych ludziach a swoją postać ukrywać skromnie w ich cieniu. I nie jest to jedynie rezultat manieri pisarskiej prof. Dorabialskiej, lecz naturalna zgodność jej myśli i sposobu bycia. Mamy w tej niewielkiej, bo dwanaście arkuszy liczącej książce, piękne zjawisko poświęcenia się bez reszty wiedzy, uміlowanemu przedmiotowi badań, ale też pamięci o innych ludziach, ich sprawach i troskach. Nic dziwnego, że wokół uczoney skupiło się liczne grono uczniów, spośród których wywodzą się samodzielni pracownicy nauki. Jak wielkim autorytetem naukowym i moralnym cieszy się autorka „Jeszcze jednego życia” w swoim środowisku, najwymowniej świadczy powierzenie jej w 1960 roku godności prezesa Pol-

skiego Towarzystwa Chemicznego.

Trudno byłoby w tej recenzji nie wspomnieć o dwudziestodmioletnim okresie łódzkim w życiu uczoney. Po latach wojny spędzonych we Lwowie a następnie w Warszawie, gdzie prowadziła wykłady na tajnych studiach politechnicznych, zdecydowała się objąć Katedrę Chemii Fizycznej na nowo utworzonej Politechnice Łódzkiej a także rolę organizatora i dziekana przez wiele kadencji pierwszego w Polsce Wydziału Włókiennictwa. Jak wspomina autorka, jedną z najpiękniejszych chwil przeżyła w dniu, gdy przypadkiem dowiedziała się, że studenci nadali swojej pani dziekan przydomek „Mamy”.

Wspomnienia znakomitej uczoney nasycone są, podobnie jak jej życie, miłością do człowieka i wiarą w jego twórcze, humanistyczne oblicze. Bo przecież prawdziwym człowiekiem jest ten, który w swoim życiu „starannie wymiata brudy i gromadzi świadomie klejnoty. Ten jest twórcą. I ten istotnie żyje. W procesie życia kształtuje siebie samego”.

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

1 Alicja Dorabialska „Jeszcze jedno życie” W-wa 1972, PAX, str. 216, zł 30.

TELEOBIEKTYW Olimpijskie dyktando

Wbrew tytułowi, nie za wiele chciałbym rozpisywać się o transmisjach z Monachium. Nie sposób jednak nie odnotować, że cały tydzień nie tylko w telewizji, ale w ogóle w naszym życiu, upłynął pod dyktando transmisji z Olimpiady. Chodzimy wszyscy niewyspani, zdenerwowani, nie dotrzymujemy terminów, odkładamy spotkania. Ten dopust Boży nie wzbudza jednak moich protestów, Olimpiada jest ostatecznie raz na cztery lata. Świadomość, że się prawie dosłownie współuczestniczy w tak wielkim wydarzeniu, jakos człowieka rozgrzesza. A nad wszystkim nerwy, żeby nasi nie zawiedli, wypadli jak najlepiej, jak najgodniej zaprezentowali nasz kraj.

Ale do rzeczy... Tydzień temu przestrzegałem przed sprawozdawcami. I muszę przyznać, że była to przestroga trochę na wyrost, bo nasi sprawozdawcy starają się dostrzoić do wysokiego poziomu zmagani sportowych. I w dość znacznym stopniu im się to udaje. Bardzo mnie to cieszy, chociaż sprawozdawca, którego chciałbym wyróżnić, ma ze sportem niewiele wspólnego. Myślę o red. Haluchu, który jest sprawozdawcą politycznym z Monachium. Naczelny Dziennik TV jest rzeczowy, umie właściwie wyselekcjonować z morza informacji sprawy najbardziej nas obchodzące w kontekście polityka-sport. Przekazuje swe relacje swobodnie i (wreszcie ktoś!) dowcipnie.

Na mój liryczny nastrój wpływa chyba jednak głównie fakt, że cała machina telewizyjna w Monachium działa sprawnie. A jest to machina, bez przesady: 130 kamer, 27 wozów

transmisyjnych, 84 urządzenia do rejestracji, 20 telekin — połączone w jeden system 1200 km kabli i łącz. Do tego 850 stanowisk sprawozdawców i komentatorów telewizyjnych z całego świata. Nad wszystkim z powodzeniem panuje główny reżyser i komputer, z którego (komputera) czasami się podśmiewamy lub irytujemy przy ślepych doborze grup eliminacyjnych. W sumie to wszystko działa bardzo sprawnie. Praca kamer, wybór najbardziej atrakcyjnego widowiska w danej chwili, powtórzenia, operowanie zbliżeniem i dalekim planem — bez zarzutu. Sprawozdawcy, którzy na swoich stanowiskach posiadają kontrolne monitory, pocieszają nas, że widzimy wszystko lepiej niż byśmy byli w hali lub na boisku. Znamy się na żartach, ale w niektórych konkurencjach jak np. gimnastyce, powtórzenia w zwolnionym tempie pozwalają nam rzeczywiście dokładniej niż bezpośrednim obserwatorom dostrzec błędy i mistrzostwo wykonawców tego gigantycznego teatru. Widowiska z precyzyjnym scenariuszem minutowym, ale bez podziału na role bohaterów i drugoplanowe. I to jest ten najważniejszy, niemożliwy do przewidzenia rozwój dramaturgii wydarzeń, to najpiękniejsze w tym widowisku sportowym, walka do końca, w której faworyt może być pierwszym, ale i też ostatnim; jak i outsider może stanąć na najwyższym podium.

W cieniu transmisji z Monachium pozostają inne pozycje programu. Niektóre wypadły zupełnie, pozostałe podporządkowane są rytmowi wydarzeń na olimpijskich stadionach. Ale program biegnie...

Znow mieliśmy cenne zwłone w teatrze poniedziałkowym. Myślę, że z Letniego Przeglądu Teatru Telewizji należy wyciągnąć wnioski do stałej praktyki powtórzeń. Nie wszystkie bowiem pozycje telewizyjnie mogą z różnych powodów obejrzeć. I pamiętajmy, że przychodzi co rok-dwa, nowe pokolenie odbiorców tego największego z teatrów. Stąd potrzeba powtórzeń, niejednokrotnie wydarzeń teatralnych, których w inny sposób odtworzyć się nie da. Choćby ze względów na aktorów, którzy bezpowrotnie zeszli ze sceny. W moim przekonaniu powinna być to jednak pozycja, o określonej z góry częstotliwości i stałych terminach, jednak obok teatru poniedziałko-

wego. Obok, a nie zamiast, jak było to często do tej pory.

Powyższe refleksje nasunęły mi się podczas oglądania znakomitego spektaklu jakim był „Jesienny wieczór” Friedricha Dürrenmatta w reżyserii Ludwika René. Podziwiałem znakomite kreacje Jacka Woszczerowicza i Gustawa Holoubka z tym większym zadowoleniem i satysfakcją, że swego czasu uszło mojej uwadze to przedstawienie. Sztuka Dürrenmatta swą wymową prowokuje do dyskusji, bo nam trudno zgodzić się że bezsens i zło są zjawiskami niepodzielnie związanymi ze światem i opór jednostki ludzkiej nie ma sensu, że człowiek w tej walce stoi na straconej pozycji. Niemniej znajomość z autorem, jednym z najwybitniejszych twórców niemieckiego obszaru językowego wydaje się obowiązkiem, jeśli chce się kontynuować dyskusję o egzystencji i miejscu człowieka we współczesnym świecie.

W rocznicę Września obejrzałem film wytwórni wojskowej „Czolówka” — „Spojrzenie na wrzesień”. Był to zwarty, przejrzysty dokument pamiętnych wydarzeń, oparty obiektywnym i treściwym komentarzem prawie z każdego dnia walki. Dużo zdjęć dokumentalnych, autentycznych kronik filmowych, animowane pozycje wojsk na mapach i planszach. Dla młodzieży była to pożyteczna lekcja historii, dla tych, którzy pamiętają chwila wspomnień, które chwytają za gardło. Pozycja potrzebna, niezbędna, mimo, że to już tyle lat...

JAROSŁAW TARNO

O FILMIE DOBRZE I ŹLE „LOVE STORY”

Na pokaz „Love Story” przynęła mnie niezdrówna ciekawość i skądinąd naturalna potrzeba konfrontacji mitu z filmową „rzeczywistością”. Pisanie recenzji z tego filmu nie ma sensu, jak również jakakolwiek próba wartościowania tego co zobaczyłem na ekranie. Dobra czy zła opinia nie ma tu żadnego znaczenia, bowiem ludzie i tak pójdą sprawdzić, zobaczą na własne oczy. Podobnie jest z naszą rodzimą opowieścią o miłości, z „Trędowatą” — spróbujcie kupić książkę, albo dostać się do teatru na przedstawienie!

Stąd więc „Love Story” staje się przede wszystkim przedmiotem rozważań naturalna potrzebą krytyki czy recenzji filmowej, do jakiej przywykliśmy. Rozumiem to uczucie niechęci włączenia się do zgodnego chóru przemówień. Cóż znaczy jeszcze jeden głos surowej krytyki czy w najlepszym razie dziwienia, że taka precyzyjność może zrobić taką furorę? Zdziwienie i poczucie bezradności nie należy do najprzyjemniejszych odczuć dla widza, który chciałby przyjąć racjonalny stosunek do oglądanego dzieła. A są to przecież fak-

ty. Film, według powieści Ericha Segala, profesora uniwersytetu, ale przy tym trzeciorzędny literata, zrobiony przez tuzinkowego reżysera, bez aktorskich rewelacji — w sumie, — przy maksymalnie dobrej woli — można określić jako poprawny, poprawny w swej precyzyjności, mieszający się doskonale w sztamie obowiązującej na Zachodzie konwencji romansu z życia wyższych sfer. Jest przy tym tak okrutnie banalny i fałszywy od początku do końca, że człowiek ma ochotę ze wstydu (za aktorów i realizatorów) wejść pod krzesło. I zapłakać. Zapłakać, ale nie nad losem bohaterów filmu, ale gustami swoich współczesnych.

A jednak z drugiej strony są fakty. Pięćdziesiąt milionów zysku po niespełna roku eksploatacji. Sukces kasowy większy niż pamiętnego filmu „Przemięło z wiatrem”. U nas również tasiemcowe kolejki, zbiorowe bilety wykupywane na tygodnie naprzód przez zakłady pracy. W Warszawie w pierwszych dniach ceny biletów u „koników” po 150 zł. Są to fakty i niezależnie od

opinii o filmie, nie można przejść obok nich obojętnie. Myślę, że powody popularności filmu są wielorakie, ale nie chciałbym ich tu w całości przytaczać. Ważniejszą wydaje mi się konieczność uświadomienia sobie, że są to powody różne na Zachodzie i u nas. Tam, jak można przypuszczać z lektur prasy zachodniej i rozważań naszych specjalistów od filmu i socjologii, „Love Story” stała się „przykładową” formą protestu przeciw zalewowi kina amerykańskiego, szczególnie w ostatnich latach, falą seksu i pornografii, wszelkiego nieludzkiego brutalizmu i przemocy, pseudofreudyzmu bebeszącego człowieka i ogłupiającego antykomunizmu w wykonaniu filmowych supermenów. I jest chyba prawdą to odwrócenie się, ucieczka choćby chwilowa, jak wtychnienie śmiertelnie zmordowanego człowieka od obrzydliwej miążsi pop kultury — w stronę rzeczywistości jaką przedstawia, jakże odmiennie, opowieść o miłości E. Segala.

Inaczej ma się rzecz u nas. Film „Love Story” poprzedziła legenda. Dystrybuto-

rzy filmu, co jest sprawą bez precedensu, zachowali nawet oryginalny tytuł filmu, dając dowód pewności, że i tak każdy wie o co chodzi. I rzeczywiście. Nim film do nas trafił mieliśmy o nim pełny serwis informacji i rozważań przekazany przez tych, którym go udało się wcześniej zobaczyć. I nie miał nawet znaczenia fakt, że były to relacje dalekie od pochwał i zachwytu.

Zresztą wiemy jak to jest: krytyka chlasta ile wlezie, rzuca gromy lub zjadliwie wykpiwa, a ludzie idą do kina jak w dym. (Niech przykładem będzie tragiczny „Dzięcioł”, supersukces kasowy ubiegłego sezonu).

Sądję, że podobnie było z „Love Story”. Sami, poprzez środki masowego przekazu, zrobiliśmy w odpowiednim czasie, wielką legendę wokół tego filmu. I teraz jemy tę żabę. I to dość szybko, jak na dotychczasowe praktyki, bo w półtora roku po premierze w USA. Jednym więc tą żabę i nie rozdzierajmy szat. Nie ma właściwie nic złego w tym, że ileś tam milionów „to” zaliczy. Starsze panie może rzeczywiście sobie trochę popłaczą, nasze

seksolatki pośmieją się wyrozumiale, a większość przeżyje jeszcze jedno rozczarowanie, jak zawsze kiedy dochodzi do konfrontacji z mitem. Kierownicy kin, ci szczęściarze, którym się film dostanie z rozdzielniaka pewnie zacierają ręce. Z planem finansowym tej jesieni na pewno nie będą mieć kłopotów. Przynajmniej oni odniosą korzyść. I to realną, z kolejnej legendy. Dobre więc i to.

A swoją drogą, już dajmy spokój tej opowieści, bardzo frapujące są społeczne i psychologiczne aspekty powstawania takich zjawisk jak przedstawione wyżej. Ciekawe, ale nieznanne. Dostrzegamy przecież tylko ich powierzchnię, znamy tylko drobne cząstki poprzez własne, bardzo ograniczone rozpoznanie. Ponieważ, nie szczęśliwi, żyjemy w świecie specjalistów, musimy poczekać aż któremś z nich przyjdzie ochota na naukową syntezę. Do tej pory musimy tkwić w niewiedzy, a kto wie czy nie w przesądach, że zbyt często dajemy się nabierać.

JAN ŻAK

Gdzie zaczynała się Rosja

Zapiski z podróży

1. Dwa wygodne, czerwone autobusy na szerokiej prostej drodze. Jedziemy szybko, co najmniej 80 km na godzinę. Gwar wielojęzycznych rozmów. Najgłośniej, z największym temperamentem zachowują się oczywiście Amerykanie z Południa. Jest ich tu, w tej czterdziestoosobowej grupie pisarzy z czterech kontynentów najwięcej: cała grupa Chilijczyków, ktoś z Brazylii, Argentyny i Kolumbii.

Już piąty dzień trwają obchody kolejnych uroczystości puszkiniowskich. Wczoraj występowaliśmy w Leninogradzie, dziś w południe wyjechaliśmy stamtąd i zmierzamy właśnie do Pskowa. Jestem na razie sam, jutro doleci z Alma-Aty Artur Sandauer. Obywam się, oczywiście, bez tłumacza, ale według panujących zwyczajów muszę być przydzielony do jakiejś grupy, należącej więc — brat-Słowianin — do Jugosławian. Peter Boszkowski z Macedonii, Caryl Zlobec ze Słowenii oraz ich tłumaczka Ludmiła Noskova. Peter nieźle sobie radzi z rosyjskim, Caryl nieco gorzej — jest znanym tłumaczem z włoskiego. Oczywiście, nie mogą mówić w swoich ojczystych językach, wybrali sobie na użytek porozumiewania się — chorwacki. Podejrzewam, że rosyjska tłumaczka zna ten język najlepiej.

Rozmawiam z włoskim poetą i wydawcą Giovannim Giudicim. Dyskusja jest ożywiona, choć nieco skomplikowana: ja mówię po rosyjsku, Ludmiła tłumaczy na chorwacki, Caryl z chorwackiego na włoski — i już Giovanni wszystko rozumie. 2. Gdzieś po drodze: wysypujemy się pod ścianą świecąca świeżym drewnem ścian karczmą „Pod Niedźwiedziem”. Zbudowano ją niedawno, ale zapatrzone są we wzory najdawniejsze: duża sala z jaśniejących belek, wielkie stoły i ciężkie drewniane ławy i zydle. W ciężkich glinianych dzbanach przynoszą zimny kwas — jaki kto woli: albo z chrzanem, albo z miódem. Ach, ludzie... Przedstawiciele Ameryki Łacińskiej już śpią — trudny żywioł ma do opanowania ich tłumaczka Nina Bułgakowa. Tym bardziej, że — nigdy tego nie podejrzewałem — narodowym napitkiem Południowej Ameryki okazuje się być wódka extra...

3. Wsiada do naszego autobusu wódz i mistrz ceremonii tej wyprawy, Iraklij Andronikow. Znanca Puszkina, Lermontowa. Rzadki

paradoks: pisarz, który nie pisze książek: Człowiek obdarzony żywiołowym dowcipem, erudyta, znajomy i przyjaciel wielu wybitnych ludzi ze świata literatury i sztuki, imitator głosów ludzkich, zwierzęcych i mechanicznych, urodzony gwęździarz. Na jego występach nazwanych krótko i adekwatnie „Andronikow opowiada” sale wypełnione są do ostatniego miejsca, a ludzie wychodzą z nich obalali ze śmiechu, płyty z jego nagraniami rozchodzą się jak świeże bułeczki. Właśnie Iraklij Andronikow siada obok kierowcy na obrotowym fotelu, bierze mikrofon i rozpoczyna od zwykłego wstępu: „jeśli nie jesteście bardzo zmęczeni, to chciałbym zająć na pięć minut waszą uwagę...”

Po czym leci półtorę godzinę opowieści... Towarzyszy jej charakterystyczny szum: to tłumacze przekładają opowieść na różne języki. Ale śmiech brzmi jednojęzycznie... Oto jedna z historyjek. W centralnym Domu Literatów już od bardzo wielu lat pracuje fryzjer, u którego strzyżą się wszyscy znani literaci. Pewnego razu usiadł na fotelu jeden z pisarzy — świeżo po powrocie z zagranicznej podróży. „Gdzieście byli towarzyszu?” — zapytał mistrz brzytwy i nożyczek. „W Italii, w Rzymie”. „A to mnie nie interesuje, niedawno goilił się u mnie Konstanty Pautowski, który tam również był i wszystko mi dokładnie opowiedział”. „Tak, ale ja byłem na audyencji u papieża”. „To co innego”. No i potoczyło się opowiadanie o tym jak przebiega audyencja, jak wszyscy przykleknęli przy całując papieża w pierścień na palcu. „A ty?” — pyta fryzjer. „A ja, jako komunista, schyliłem tylko głowę w ukłon”. „No i co powiedział papież?” „On nie powiedział, on mi zadał pytanie”. „Jakie pytanie?” „Papież mnie zapytał: kto was, towarzyszu, tak fatalnie ostrzygł?”

4. Na parę kilometrów przed granicą pskowskiej oblasti wyprzedza nas motocykl z koszem. Siedzi w nim człowiek z kamerą filmową i niebezpiecznie balansując przy dużej szybkości filmuje nasze autokary. Jakaż i granica. Zatrzymujemy się, wszyscy wysiadają. Przy szosie na poboczu spory rząd samochodów, dużo ludzi. Witają nas uroczyście gospodarze Ziemi Pskowskiej: przemówienia, kwiaty, pamiątkowe znaczki, wielu

przedstawicieli prasy, radia i TV. Czujemy się trochę tak, jak ministrowie spraw zagranicznych w czasie oficjalnej wizyty w zaprzyjaźnionym kraju. Tym bardziej, że w dalszej drodze wyprzedza nas kawalkada aut i wóz milicyjny „na syrenie”, zaś wszystkie skrzyżowania są zamknięte — stoją przy nich milicjanci i uroczyście salutują. Czujemy w sobie napływ znaczenia i godności. Na dwa kilometry przed Pskowem rozwidlenie dróg — w lewo odbiega obwodnica, my skręcamy w prawo, do miasta. Znow skrzyżowanie zamknięte milicyjnym wozem, znow salutowanie. A pięćdziesiąt metrów od tego miejsca, stoi w polu i patrzy smutnym wzrokiem na te ceremonie, olbrzymi, uwieczniony koroną rozłożystych rogów — Ios.

5. Przybyła tu kiedyś Olga, żona Igora, wielka księżna Rusi Kijowskiej. Przybyła i powiedziała: „Tu będzie chrzą św. Trójcy i miasto wielkie, sławne w całym świecie...” Tak mówi legenda.

W kronikach pierwsza wzmianka o Pskowie związana jest z imieniem księcia Ruryka i z rokiem 903. Później, niedaleko stąd wielkie zwycięstwo na lodzie Czudskiego jeziora odniósł Aleksander Newski. To była połowa XIII wieku. A w roku 1581 ksiądz Piotrowski, sekretarz polowy Stefana Batorego zapisał w swoim dzienniku: „Weszlśmy już w strony wesole i urodzajne, lecz cóż z tego?... Wszędzie pusto... wsie gęsto rozpolone, ale nigdzie nie widać żywej duszy...” Pochód Batorego był do tej pory jedynym pasmem zwycięstw. Tu jednak zatrzymał się na pięć lat. Batory nie zdołał wziąć Pskowa. Zapewne stał pod murami tego właśnie Kremla. Wysoki brzeg rzeki Wielkiej. Wąski półwysp wdzierający się w wodę otoczony białym murem z piaskowca. W centralnym punkcie tego zespołu architektonicznego katedralny sobór św. Trójcy. Najwyższa, wystająca z wysokiego gmachu kopuła, obok niej cztery inne. I zaraz niedaleko wieża dzwonnicy. Kiedy się z niej patrzy w dół, małe rybakie łódki na rzece wyglądają jak stado kaczek. W zimie, kiedy po Wielkiej płynie kra, kiedy leży tu śnieg — wszystko jest oślepiająco białe: wapienna skala, mur obronny, ściany soboru, gałęzie rozłożystych drzew.

A za murami Kremla — miasto, które jako jedno z

pierwszych przyjęło na siebie uderzenie hitlerowskich wojsk. Pskow bardzo ucierpiał w czasach ostatniej wojny, toteż nie sprawia swą architekturą jakiegoś oszałamiającego wrażenia. Ale ocalały gesto po mieście rozsiadane cerkwie: cerkiew Nikoły, Michała Archanioła, Joakima i Anny. Kragłość kopuł, poczerwiałe gonty dachów, biel ścian, znow biel.

6. Odbywa się to tak: kiedy publiczność wypełni już do ostatniego miejsca, teatr, wówczas wchodzimy na scenę my, Iraklij Andronikow z namaszczeniem wyimienia każdego z nazwiska i nazwy kraju, każdy kłania się, otrzymuje odpowiednią porcję oklasków i siada. Najpierw występują poeci rosyjscy, potem zagraniczni — rozdzieleni wg takiej zasady, żeby każdy mógł wystąpić choć raz, w którymś z miast, będących miejscem puszkiniowskich uroczystości.

Poprzedniej nocy powiedziałem mi, że występuję w Pskowie. Razem z przyjaciółmi leningradzkimi, znanym poetą Wołodą Toropyginem mozolimy się nad „podstocznikiem” mojego wiersza pt. „Puszkina”, po czym Wołodzia dokonuje na tej podstawie literackiego przekładu. Na scenie występujemy razem — ja czytam tekst polski, on rosyjski przekład.

Klaszczą nam, w przydziu dziękują, wracamy na swoje miejsca. A potem jeszcze dwie godziny tej oficjalnej części uroczystości: poeci z różnych krajów czytają wiersze na puszkiniowskie tematy, tłumacze przekładają wielkiego rosyjskiego poety. Publiczność siedzi kamieniem, słucha z wielką uwagą, reaguje, wyraża aplauz. Patrzę, obserwuję — i zazdroszczę! Oto kraj, gdzie poezja jest sztuką powszechną.

7. Z Pskowa trzeba pojechać tylko sto kilkanaście kilometrów i już jesteśmy w głównym celu naszej wędrówki — Góry Puszkina, Trigoroskoje — Michajłowskoje. Tutaj Aleksander Siergiejewicz mieszkał po ukończeniu liceum w Carskim Siolu, tutaj przebywał na wygnaniu, kiedy car zakazał mu pobytu w stolicy, tutaj został przywieziony potajemnie, nocą, wtedy, kiedy jego pogrzeb w Petersburgu groził przeroznięciem się w wielką manifestację antycarską, tutaj spocyna w skromnym grobie uwiecznionym obeliskiem z białego marmuru.

Siolo Michajłowskoje — niewielki drewniany dworek

wypełniony pamiątkami po Puszkynie. Został doszczętnie zniszczony w czasie wojny, a teraz nawet piękny park z modrzewiami i bukami wygląda tak, jakby nie był świadkiem żadnych pożarów i zniszczeń. Zawsze tutaj gęsto od wycieczek, które przyjeżdżają z miejscowości oddalonych nawet o setki kilometrów, a mimo to zawsze panuje tu uroczysta, dostojna cisza, którą przerywa tylko głos przewodnika. Oprowdza nas po swym gospodarstwie dyrektor muzeum Siemion Giejczenko. Jego opowiadanie jest tak sugestywne, że całymi długimi okresami zapomina się, że przecież nie mógł on żyć w tamtych czasach, nie mógł być naocznym świadkiem zdarzeń, o których mówi. „I wtedy Aleksander Siergiejewicz spojrział w okno i zawołał... „I wtedy wybiegł na ganek, przed dom”...

A niedaleko, poza granicami parku stoją już w lesie setki autokarów i samochodów. Niektórzy przyjechali na jutrzejsze święto dwa dni temu.

Wielka estrada na olbrzymiej polanie w Michajłowskoje, nad nią portret Puszkina. Na polanie — morze głów ludzkich. Dziś w puszkiniowskim święcie bierze udział 130 tysięcy ludzi.

8. Spotkanie „w kulisach” — w lesie, za estradą. Rozmawiam z doktorem matematycznych nauk, mieszkańcem Leningradu. Po raz piąty bierze udział w uroczystościach. I po raz piąty przychodzi tu na piechotę. Policze — przeszło czterysta kilometrów. Pielgrzymka, której celem jest poezja.

9. Inne spotkanie za estradą. Do występów, które odbędzie się po oficjalnej części uroczystości przygotowuje się chór z pobliskiego kolchozu — dziewczyny w przepięknych regionalnych strojach.

A najmłodsza z nich ma 62 lata...

10. Herb Nowgorodu: w dole dwie złote ryby odwrócone pyszczkami do siebie, w górze zębaty mur, w centrum — dwa niedźwiedzie trzymające wyciągnięte łapy nad datą 859. Tę właśnie datę uważa się za rozpoczynającą dzieje miasta zwanego „Pan Wielki Nowgorod”. Miasto dzieli na pół rzeka Wolchow. Zachodnią część nazywaną Sofijską — od soboru Sofii znajdującego się w obrębie Kremla, wschodnią nazywaną się Targową, tam też rozkłada się Jarosławski Zamek. Ta właśnie część miasta od najdawniej-

szych czasów tętniła ożywionym ruchem, tu zmierzały ze wszystkich stron świata kupieckie wyprawy. Urzekająca jest arkadia wzniesiona na brzegu rzeki, zza której z daleka widać Nikolskij Sobór zbudowany przez Mściława, syna Władymira Monomacha w 1113 roku. A tuż obok następne cuda architektury — cerkwie i sobory Paraskiewy, Iwana, Michała Archanioła i inne.

Coś nowego w kolorystyce: na tle zieleni drzew i niebieskości rzeki biel murów ma ton różowawy, jakby była oświetlona zachodem słońca. A wewnątrz freski jednego z największych mistrzów bizantyjskich — Teofana Greka. Znajdują się one w cerkwi Sposa na Ilinie, pochodzą z 1378 r. i zachowała się tylko niewielka ich część. Ale nawet to co zostało nadkruszone przez wieki, nieco spłowiale i zbladłe — robi olbrzymie wrażenie swą niepojętą maestrią formy, swym niesamowitym kolorystem.

11. Opowieść zasłyszana w Nowogrodzie, w którą można nie wierzyć, jeśli się nie było w tym mieście. Odwiedził kiedyś Związek Radziecki pewien amerykański milioner, który między innymi chciał zobaczyć Nowgorod — strony rodzinne swojej matki. Przyjechał z Moskwy specjalnie przez siebie wynajętym samolotem, na kilka godzin. Po czym samolot stał na lotnisku przez dni siedem, bowiem milioner nie mógł się napatrzeć piękności tego miasta, tej ziemi, tych pomników starodawnej architektury i sztuki...

12. Zaledwie parę kilometrów za Nowogrodem znajduje się wielki zespół architektoniczny Michajłowskiego monasteru. A tuż obok niego, nad jeziorem utworzonym przez szeroko rozlany Wolchowskansem drewnianych cerkiewek. Właściwie nie ma nic nadzwyczajnego w tym pejzażu, wszystko z osobna jest zwyczajne właśnie, nieciekawe. Jezioro, rzeka, zarośla wiklin, z rzadka olchy i brzoźki, poczerwiałe ze starości ściany cerkiewek. Pejzaż jest płaski, rozciągnięty, niski. Ale kiedy stoi się nad rozlewiskiem rzeki Wolchow, kiedy się patrzy w stronę Nowgorodu, kiedy się obejmie wzrokiem to wszystko razem — wtedy, właśnie można zrozumieć dlaczego tutaj, przed wieloma wiekami zaczynała się Rosja.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Powrót Freda

Dalszy ciąg ze str. 5

Mirka Karlicka przeistacza się w Ewę Skarzycką podczas uroczystej mszy w największym kościele. Gdzie zakotwiczyła się młoda para? U progu biednej wówczas dzielnicy, w obskurnym mieszkaniu z latryną na dworze. To mieszkanko przylegało do drukarni fatalaszków, które produkował senior Skarzycki, zaspokajając w ten sposób rodzinne potrzeby i wyrafinowane gusty prowincjonalnych elegantek. Krzysztonik pisze: „Skarzycki miał rezerwy dolarowe, bank tak wielki, że jego „poczynania” siły popłoch na rynku czarnogieldowym w kraju”. Czo-

łowi waluciarze śmiały się z tego akapitu, bo niewielkie transakcje dolarowe stary zatłwiał z nimi po cichu i ośobiście, bez pomocy wymyślonych przez Krzysztonika „agentów” włóczących się po całej Polsce. Czy był milionerem? A może tylko jednym z kilkadziesiątu prywatnych przedsiębiorców? Po ślubie Freda z Opczyńską Skarzycki znalazł się w tarapatkach; zapłatą w sławną afere gospodarczą zniknął tajemniczo i kursowała fama, że wyemigrował. Fred, który w prezencie ślubnym dostał od ojca „zamek”, będący w rzeczywistości zdewastowanym, otoczonym skrawkiem jałowym pola, budynkiem — postanowił w dowód wdzięcz-

ności wyprawić starego na Zachód. Barwny jest opis tej eskapady: „Sznurowy luksusowy wóz ruszył o bladym świcie w kierunku Wybrzeża. Na czele jechała czujka, wypatrując patroli, na końcu jeden ze stryjów patrzył bez ustanku w lustro na zoszę za sobą. Skarzycki wiozł wór złota i dewizy. Dobrze! Na miejsce bez przygód, ale gość, który miał przetrwać Skarzyckiego za granicę, zrobił zawód: zagarnął drogocenny bagaż, a właściciela oddał w ręce milicji. Skarzycki trafił do więzienia. Mówiono: „to przez Ewę, czarownicę, żeśle na Skarzyckich nowe nieszczęścia”. Coś mi się zdaje, że „Ewa” nie była za bardzo mściwą czarownicą, skoro tak wielkiego malwersanta, waluciarza i super-gangstera — jakim według Krzysztonika pozostawał za życia jej teść — wpakowała za kratki tylko

na trzy lata, podczas gdy główny oskarżony w tym procesie, skromny hodowca róż, złapał dwa razy dłużej, natomiast inni oskarżeni, jak na przykład skromny hodowca indyków — po piętnaście, dwanaście, dziesięć i dziewięć lat... A może senior Skarzycki nie był wcale wielkim gangsterem i bogaczem? Podobno przed wojną i w czasie okupacji — mówił to na jego pogrzebie znany literat — roztaczał mecenat nad młodymi poetami, z których jeden, wybitnie utalentowany i ubogi, zginął w obłożonej Warszawie. A może „Ewa” nie była wcale czarownicą? Gdyby Krzysztonik, potrafił kojarzyć fakty, doszedłby do przekonania, że tych różnic magicznych sztuczek: rzucania przekleństw, wróżenia z ręki, wbijania szpilki w papierowe sylwetki zniechędzonej ludzi — nauczyła się stosunkowo nie-

dawno od Cyganów, kiedy to nawiązała głośny romans z przedstawicielem tej rasy, modnym obecnie na Zachodzie bigbiciarzem. Przedtem natomiast nie wierzyła w zabobony, raczej w pieniądze. Swoje porządowe konflikty z rodziną Skarzyckich załatwiła w sferze porozumienia materialnych: oni dali jej dwadzieścia tysięcy — ona zrzekła się na zawieszę praw matki i powędrowała w świat, nie żyjąc bynajmniej do Freda nienawści... spotykali się od czasu do czasu... Kiedy leżał sparaliżowany w szpitalu, przyjechała z daleka, żeby go pocieszać, a cierpiał na samotność i wiodło mu się nie najlepiej: usunięty z nieuctwo ze szkoły, skłócony z rodziną, zdewaluowany tworzysko w światku, który odkrył nagle jego słabe strony...

Bywało, że nie miał na wódkę i pożyczal drobne su-

my od kolegów, albo nawet: „Daj no stówę, panie kawalerze” — mówił do dziewczyny, i to było dowcipne, urocze, tym bardziej, że rzadko to stówę zwracał. No, więc dziewczyna — kawalerzy zaczęły go unikać. Bo on nie był znowu taki piękny. Krzysztonik zrobił go bokse-rem, pływakiem, rajdowcem, Apollinem o wspaniałej sylwetce, a tu, co?... niewysoki, przysadzisty gość z wypukłym brzuszkiem i otyłym podbródkiem, niechlujnie ubrany, tułający się po mieście tak, jak później tułał się po akademikach jego młodszy brat. Taunusy, mercedesy? He, hę, Czasami, z wystawionym przez szybę łokciem, dawał popis odważnej jazdy: rozklekotany wartburg ryczał przeraźliwie, ale sunął czterdziestką. A jak to było z twórczością Skarzyckiego? Roztaczał blaski, że pomagał pisać scenariusze do wybitnych

Kultura na świecie

RAINER MARIA RILKE

Umarł podobno na skutek skaleczenia się kolcem róży, kwiatu, który specjalnie lubił i którego pełno jest w jego wierszach. Był postacią jeszcze za życia niemal legendarną, a jego romantyczna śmierć dodała uroku legendzie. Na jego grobie, tak jak chciał, położono prostą kamienną płytę i wyryto strofę jego poezji, epitafium mówiące o róży i zagadkowe jak często bywały jego wiersze.

Rainer Maria Rilke, jeden z najwybitniejszych, a wśród współczesnych mu, jeden z najbardziej oryginalnych poetów, urodził się w Pradze czeskiej w roku 1875 w rodzinie urzędnika. Początkowo kształcił się w wojskowym zakładzie wychowawczym w St. Pölten, tym samym, który inspirował Musilę do napisania powieści „Nie-

pokoje wychowanka Torlessa”. Rilke opuścił wkrótce szkołę kadetów, zajmuje się jakis czas studiami handlowymi by w latach 1895/1896 studiować w Pradze historię sztuki, literatury i prawa. Przebywał następnie w Monachium i Berlinie, podróżuje zwiedzając Włochy, odbywa podróż do Rosji, gdzie spotyka się z Lwem Tolstojem. Poznanie wielkiego pisarza rosyjskiego wywiera wielkie wrażenie na niemieckim poecie.

W roku 1910 Rilke żeni się z Klarą Westhoff, lecz wkrótce małżeństwo się rozpadła, a poeta znów podróżuje. W latach 1905 i 1906 przebywał w stolicy Francji pracując jako sekretarz u słynnego rzeźbiarza Rodina. Indywidualność Rodina wywrze niemały wpływ i na twórczość poetycką Rilkego. Stwierdził potem, że poeta powinien pracować tak nad słowami jak rzeźbiarz pracuje nad swym tworzywem — kamieniem i brązem.

wami jak rzeźbiarz pracuje nad swym tworzywem — kamieniem i brązem.



Rainer Maria Rilke, Wiedeń, 1914

Na zaproszenie księżnej Marii von Thurn und Taxis przebywał w latach 1911/1912 w jej zamku w Duino położonym wysoko, jak orle gniazdo na skalach. Tu Rilke mając u stóp wody Adriatyku pisze swoje „Elegie Duinezyjskie”.

W latach pierwszej wojny światowej przez krótki czas jest w armii austriackiej, potem już po wojnie, w roku 1919 osiada w Szwajcarii gdzie w roku 1926 mając lat 51 umiera w Montreux.

Pozostawił po sobie m. in. powieści poetycką pt. „Pamiętniki Malte Laurids Brigge”, zbiory poezji jak „Elegie Duinezyjskie”, „Sonety do Orfeusza”, „Nowe wiersze”, tłumaczenia na język niemiecki poezji rosyjskiej, angielskiej, francuskiej i włoskiej. Pisał też dramaty, ale nie zyskały one sobie uznania.

W twórczości swej Rilke zaznaczył się jako poeta o niezwykle wrażliwości i bogactwie wyobraźni. Poezja i samotność były tymi jego obszarami duchowymi, do których uciekał od realności świata i jego spraw. Czując się wyobcowany ze społeczeństwa zamykał się w kręgu swych niemal surrealistycznych wizji. W jego twórczości problem życia i śmierci góruje nad wszystkimi innymi. „Wielka jest śmierć, a my jesteśmy jej śmiejącymi się ustami” — pisał w jednym ze swych wierszy. Mimo to obok głęboko lirycznych, impresyjnych i bardzo subiektywnych w wyrazie, nieraz mistycznie brzmiących wierszy, nawiązywał w swej poezji do prostej, ludowej twórczości. „Mich rührt so sehr böhmischen Volkes Weise”, „Tak głęboko mnie wzrusza melodia czeskiego ludu” — pisał.

Postać Rilkego przede wszystkim poety, ale i prozaika, dramaturga, przekładowcy przypomina obecnie prasa francuska w związku z dwutomowym wydaniem jego dzieł w języku francuskim. Tom pierwszy liczący 720 stron zawiera utwory prozą, tom drugi o 544 stronach, przynosi utwory poetyckie.

SŁOWNIK DAWNO WYMARLEGO JĘZYKA

W najbliższym czasie ukazuje się w Stanach Zjednoczonych, w nakładzie 1250 egz. jedenasty tom, spośród 21 zaplanowanych, słownika języka asyryjskiego. Słownik przygotowywany jest od roku 1921 przez naukowców uniwersytetu w Chicago. Zawiera on będzie 20 tys. słów używanych w zakresie kultury asyryjskiej 2 do 4 tysięcy lat temu.

Całość słownika ma być ukończona w roku 1980. Praca nad nim, niezwykle żmudna, oparta jest na odczytywaniu glinianych tabliczek (lub nawet tylko ich fragmentów) z piśmem klinowym.

MUZEUW SALVADORA DALI

Salvador Dali ofiarowuje swoje dzieła hiszpańskiemu miastu Figueras, gdzie się urodził. Miasto oddalone jest o 50 kilometrów od granicy francuskiej. Dzieła Salvadora Dali mają być umieszczone w specjalnie wybudowanym muzeum jego imienia. Kopia budynku wynosić ma dwanaście metrów wysokości. Sufit muzeum Dali o-

zdobi swymi wielkimi malowidłami. Muzeum otworzone ma być w roku 1973. Tam to właśnie przeniesione zostaną później setki dzieł Salvadora Dali, które teraz znajdują się w jego prywatnym posiadaniu.

ZOFIA LOREN — DULCYNĘJA

Zofia Loren wystąpi w filmie jaki nakręca Arthur Hiller (autor filmowej wersji „Love Story”) o Don Kichocie pt. „Człowiek z La Manchy”. Zofia gra w tym filmie rolę pięknej, szlachetnej i energicznej Dulcyneli, umiłowanej Don Kichota, którego broni i którym się



opiekuje. W roli błędnego rycerza wystąpi Peter O'Toole. Film kręcony jest we Włoszech, w miejscowości odległej o 60 km na północ od Rzymu.

„ERGYRON” — ZNACZY „ŚWIT”

Jeden z ostatnich numerów radzieckiego miesięcznika - magazynu „Sputnik” przynosi m. in. interesujący artykuł o zawodowym zespole pieśni i tańca z Czukockiego Okręgu Narodowego. Okręg ten znajduje się na Dalekim Wschodzie w Rosyjskiej FSRR. Ośrodkiem administracyjnym jest Anadyr. Półwysep Czukocki, najdalej wysuniętą część Azji, o klimacie subpolarnym, zamieszkuje Czuczek, lud grupy języków paleoazjatyckich oraz Eskimosi.

Zespół „Ergyron” co po czukocku znaczy „Świt” jest młody za-

równo jeśli chodzi o jego istnienie, jak i dlatego, że gromadzi młodzież. Przeciętny wiek

ron”. Zaproszono konsultantów z Moskwy i Leningradu — baletmistrzów i pedagogów cho-



Sceny z występów zespołu pieśni i tańca „Ergyron”: „Łódeczka” i „Polowanie na morsa”

artyści zespołu wynosi dwadzieścia lat. Ciekawa jest historia tego pierwszego zawodowego na Półwyspie Czukockim zespołu pieśni i tańca. Otóż nieżyjący już działacz kulturalny Nutetein włożył wiele pracy w organizację zespołów ludowych. Nutetein prawnuk, wnuk i syn myśliwych sam był też myśliwym. Polował na polarne lisy, na fokę, na morsy, a nawet na wieloryby. Kierował brygadą łowiecką. Praca ta nie tylko mu nie przeszkadzała, lecz pomagała w organizowaniu amatorskich chórów i zespołów tanecznych. Odwiedzał stare rybaccie osiedla, robotnicze kluby, domy kultury w kolchozach hodowców reniferów. Jego zapal w organizowaniu życia kulturalnego udzielał się mieszkańcom Półwyspu. Na wniosek Nuteteina Czukocki Okręgowy Komitet Partijny podjął uchwałę o stworzeniu zawodowego zespołu pieśni i tańca. Tak to trzy lata temu powstał zespół „Ergy-

reografów. Do zespołu zaczęła się zgłaszać młodzież czukocka i eskimoska z całego półwyspu. Wybrano trzydziestu młodych kandydatów na artystów. W końcu 1969 roku radio czukockie doniosło o założeniu pierwszego zawodowego czukocko-eskimoskiego zespołu pieśni i tańca.

Pieśni i tańce wykonywane przez artystów „Ergyronu” oparte są ściśle na tradycjach ludowych Półwyspu Czukockiego. Oto artyści zespołu przedstawiają łowy na morsa, zbieranie ptasich jaj na skałach, polowanie na polarnego lisa. Inny obrazek — to lot mewy. Natchodzi burza, wieje chłodny wiatr, mewa ucieka znad morza do swego gniazda na brzegu. Szałwał przeszkadza w locie mewy, ale ona spychana wiatrem, unoszona w górę, uparcie dąży do brzegu. Wszystko to ilustruje zespół pieśni i tańcami, a mimika, taneczne gesty, śpiew, są niezwykle sugestywne.

POLONICA

„FIGARO” ROZMAWIA Z JERZYM LISOWSKIM

Literacki dodatek do wielkiego paryskiego dziennika „Le Figaro” zamieścił rozmowę swego współpracownika z tegorocznym laureatem francuskiej nagrody za tłumaczenia, Jerzym Lisowskim. Autor wywiadu przypomina, że Lisowski zapoznał polskich czytelników z twórczością Henri Michaux, Sartre'a, Marguerite Duras, Vaillanda, Ionesco i Cabanisa, że jest także twórcą wydanej 4-tomowej antologii francuskiej

poezji, sięgającej od „Kantyleny Świętej Eulalii” po czasy dzisiejsze. Można ją porównać z najlepszymi wydawnictwami tego typu we Francji.

Rozmowa dotyczyła miesięcznika „Twórczość”, którego Lisowski jest jednym z redaktorów i który ma charakter bardziej literacki, niż np. „La Nouvelle Revue Française”. Co do współczesnej literatury francuskiej, Lisowski stawia wysoko Robbe Gilleta, Butora, Claude Simona i Marguerite Yourcenar. Rozmowa dotyczyła też „Wniebowstąpienia” Konwickiego, które Lisowski przełożył na język francuski dla wydawnictwa „Gallimard”, W. N.



Zamek w Duino, gdzie powstały „Elegie Duinezyjskie”

połskich filmów, i że słowa znanej piosenki są właściwie jego dziełem. Lecz naprawdę, to z otwartą przyłbicą wystąpił tylko raz, jako współautor wydrukowanego przed laty w „Gazecie Literackiej” reportażu „Dolinia-rze”: zgrabna, dydaktyczna, nabita realiami opowieść z życia reżyserskich, waluciarzy, sutenerów („Anitko, przerywaj rozkosz! Pan dał fałszywe dziesięć dolarów”) i złodziei („No, wiesz, robie skoki, na bombę, na kieszeń, na farmazon, przekrecam frajerów jak leci”). Nie wiem, ile wysiłku włożył w to dzieło Fred, a ile pewien utalentowany reportażysta i reżyser. Fakt, że drugi współautor zachowywał się skromnie, natomiast pierwszy (alfabetycznie) chępliwie obnosił „Gazetę Literacką” po mieście i niebieskie ptaszki chowały się przed nim po bramach z udanym strachem: „Uwaga, chłopcy!

redaktor Skarżycki nadciągają”. Ulubionym pisarzem Freda nie był w tym czasie Hlasecki — autor wstrząsającej, cytowanej przez Krzysztownika opowieści, tylko Malcolm Lowry — autor „Pod wulkanem”. Bohater Hlaseckiego walczył z nalogiem, bohater Lowry'ego poddawał się łagodnie: „Nie ma nic gorszego od pustej butelki. Chyba, że pusty kiełbasek”. Skarżycki robił z gorzkiej religii. Wymawiał z emfazą „Under the volcano” i „whiscander” — użyty przez Malcolma neologizm, oznaczający faceta non stop złośliwego whisky. Fred twierdził, że jest to najpiękniejsze słowo świata. Powtarzał je bez końca w obskurnej budzie, z której Krzysztownik zrobił gigantyczną maszynę przemysłową filmową, pełną „potężnych ludzi”. Kto jest niby taki potężny? Ben Radula? Pija-

ne zapiewają z operetki? Klezwierzyna z Filharmonii? A może ten ober w przybrudzonej kielit, wliczający po sześćdziesiąt złotych do rachunku i, przyłapany na oszustwie, powtarzający od lat ten sam kawał: „Wiesz pan, jaka jest różnica między kelnerem a pogodą?” — „?” — „Pogoda nie zawsze dopisuje, ha, ha!” Z innych twórców Skarżycki cenil Salinger („Hemingway — mówił — to szmaciarz!”), a z polskich Różewicza i Hamiltona, który niedawno przeszedł klimakterium. Wszyscy pozostali — nie wyłączając reżyserów, piosenkarzy i aktorów — to gnojki bez znaczenia, więc, jak pisał Krzysztownik, postanowił zrealizować swój talent na obczyźnie, bo tu, w kraju, nikt mu już nie imponował.

Ale to było troszeczkę inaczej. Do ostatniej chwili miał się, wahał, szukał

pracy. Proponowali mu posadę technika. „Przecież jestem w zasadzie inżynierem” — mówił, dotknięty na honorze. „A masz dyplom?”, „nie”, „to nie da rady”. „To szlag!” I dopiero wtedy wyjechał, nie myśląc jeszcze o dezercji.

Nadchodziły rozmaite wieści: był wykiadają? modelem dla nietypowych?, drobnym stręczycielem, pomocnikiem i pocieszycielem zaawansowanej w latach kobiety, która miała aptekę i sprzątała ją z rana we dwójkę? Z wiarygodnych ust słyszałem, że w południe kupował butlę taniego wina i drałował nad Sekwanę. „Gdzie idziesz?” — pytali znajomi. „Nad Wisłę”. „Po co?”. „Szukać Łodzi”. „Przecież w Łodzi nie ma Wisły?”. „Ale są drzewa. Takie same, jak nad tą cholerną Sekwaną”. Kiedyś, po pijanej nocy, trafił do fryzjera i jak ten gość zaczął

go skrobać, to Fred mówi: wiesz pan co, tak nudno pisanie go, aż mi się rzygać chce. I się wyrzygał. Ta plotka obiegła całe miasto. Zrobiła karierę. Ale nie odpowiadała na pytanie, kim właściwie był Skarżycki.

Krzysztownik kreował go na pierwszego w Polsce playboya i twórcę pierwszej w świecie sex-grupy. Nie prawda. Pierwszym playboym był Tadzio Meloman, a twórcą pierwszej sex-grupy — zdegenerowany wychowawca, co to kilkanaście lat temu — kiedy Fredek biegał jeszcze w krótkich spodniach — organizował kolonie dla dzieci, przyuczając je do miłości na zasadzie turnieju: każdy z każdym.

Krzysztownik kreował go gangsterem z kompleksami. Dla mnie natomiast Skarżycki pozostał na zawsze człowiekiem o wielu małych, niespełnionych talen-

tach. A może one nie były takie małe? Może, po prostu, nie miał cierpliwości, nie potrafił ich rozwinąć? Bo żeby zostać pisarzem, reżyserem, czy choćby tylko autorem słów w piosence — nie wystarczą same znajomości i zapożyczona od przyjaciół sława. Nie wystarczy siedzieć w knajpie i biernie czekać na cud.

Wybrał wolność. Wolność zamieniła się w śmierć. Śmierć przyniosła mu w prezencie pierwszą samodzielną sławę.

Lecz owoców tej sławy nie skosztował, wracając do kraju w metalowej trumnie. Albo — jak twierdzą niektórzy — w blaszanej puszcze. W garstce popiołu.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Nieobecność - znaczy przeigrana

Zmarły przed kilkoma laty wielki włoski sławista Giovanni Maver pisał w 1930 r. w jednym z polskich czasopism: „uciekamnie się w stosunkach między dwoma narodami do pośredników stanowi zawsze dowód niższości: zarówno tego, kto przyjmuje drogą pośrednią, jak i tego, kto w ten sam sposób przekazuje. Usunąć tedy takie

pośrednictwo, zamiast godzić się z nim, oto — niezależnie od wszelkich innych zalet — piękny dowód dojrzałości kulturalnej, o którą nie mogą nie dbać dwa wielkie narody”. Od tego czasu zmieniło się znów nie tak wiele, skoro w 1968 r. fiński tłumacz Ake Lahtinen w wywiadzie dla polskiej prasy oświadczył: „Myślę, że winniśmy wza-

jemne kontakty utrzymywać bezpośrednio, a nie dowiadywać się o naszych wydarzeniach kulturalnych przez echa z Berlina czy Londynu”. Aktualność tego postulatów w stosunku do krajów skandynawskich potwierdza smutna lista pisarzy polskich wcale czy niemal wcale tam nieznanymi, zestawiona przez Zenona Ciesielskiego. Są na niej nie byle jakie nazwiska: Słowacki, Prus, Konopnicka, Sieroszewski, Kaden-Bandrowski, Dąbrowska, Nalkowska, Iwaszkiewicz...

Obserwator literackich kontaktów polsko-skandynawskich dokumentuje licznymi przykładami charakterystyczną prawidłowość, „że na rynek przekładowy dostają się pisarze reprezentujący określone wartości myślowe i artystyczne”, takie, które są bliskie twórcom i odbiorcom tłumaczeń. Dzieje się tak nie tylko z tzw. literaturą piękną, ale również z tymi rodzajami piśmiennictwa, które nie sięgają po rangę dzieła sztuki ograniczając swoje ambicje do przekazywania takich bądź innych treści. Jest tak również z piśmiennictwem historycznym.

Byłoby przesadą sądzić, że nie

ma — również i w Skandynawii — pewnej ilości tłumaczeń polskich dzieł historycznych, chociaż w odniesieniu do tego kręgu kulturowo-językowego wolelibyśmy tu użyć raczej czasu przeszłego. O ile jeszcze stosunkowo wiele przełożono z naszego piśmiennictwa historyczno-politycznego z okresu po powstaniu listopadowym, bowiem fala życzliwego zainteresowania losami Polaków, nie ominęła i Skandynawię, to od drugiej połowy XIX w. tłumaczono już właściwie tylko anegdotyczno-eseistyczne prace Kazimierza Walliszewskiego, Kazimierza Chłędowskiego czy Zdzisława Morawskiego, nie mające nic, bądź prawie nie wspólnego z problematyką polską. Przejściowo, w latach Pierwszej Wojny Światowej, zainteresowano się historyczną publicystyką Ernesta Lunińskiego i bardzo nielicznymi innymi pracami. Czasy najnowsze reprezentują... Właśnie: w skrupulatnych zestawieniach Z. Ciesielskiego nie odnajduję wzmianki o jakimkolwiek godnym uwagi tłumaczeniu któregośkolwiek z polskich dzieł historycznych, dotyczących najnowszych dziejów naszego kra-

ju, na którykolwiek z języków skandynawskich. Chyba, że za surogat uznaliśmy opowieści szwedzkiej autorki polskiego pochodzenia, Letty Rudnickiej-Jaroszyńskiej, żony ukraińskiego właściciela ziemskiego, traktujące o rewolucji na Ukrainie (1925), tejsze „Moje spotkanie z Armią Czerwoną” (1943), bądź publikację reżysera teatralnego i filmowego Ryszarda Bolesławskiego, pisane wraz z Helen Woodward o wojnie 1920 r... Żadnego z tych dzieł nie miałem w ręku, ale chyba nie trzeba żywić wątpliwości co do tego, jakie proponują one spojrzenie na opisywane wydarzenia.

Przykład skandynawski jest szczególnie drastyczny. Szwed, Duńczyk, Norweg lub mieszkaniec Finlandii, jeśli pragnie zapoznać się z dziejami, zwłaszcza najnowszymi, naszego kraju, dysponuje wyłącznie obcym, nie-polskim piśmiennictwem historycznym. Chyba, że się nauczy języka polskiego, co wprawdzie nie jest znowu tak rzadkie, ale przecież nie może być regułą. Dziennikarz, nauczyciel, student sięga więc po to, co ma pod ręką, po publikacje rodzime, skandynawskie. bądź do to, co

jest dostępne w najlepiej znanych językach europejskich. Czemuż więc dziwić się, że jakże często jego wyobrażenia o naszym kraju są opaczne? Nie trzeba udawać, że w masie obcojęzycznego piśmiennictwa, dotyczącego naszego kraju i jego historii, niedostrzeżalną kropką w morzu są publikacje wykładające nasze własne, polskie racje. Światowy rynek wydawniczy nie znosi tematycznych pustek: jeżeli problematyki polskiej nie reprezentujemy my, czynią to inni, dobrze, jeżeli nie nam niechętni. Tych ostatnich zaś nie brakuje. Nikomu dotąd nie przyszło do głowy, by zestawieć liczbę tłumaczeń dzieł z historii Polski, wydanych w kraju, z liczbą analogicznych publikacji, choćby tylko pochodzących z kręgu paryskiej „Kultury”. Zestawienie takie dałoby coś do myślenia.

LEKTOR

Zenon Ciesielski, Zbliżenia skandynawsko-polskie, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1972, ss. 277.

Od niedzieli do niedzieli

Lutnia po Bekwarku

Jest w łódzkim Radio audycja, która nosi nazwę — symbol: „Lutnia po Bekwarku”. Kim był Bekwark? Wiadomo dość dokładnie, choć nazywano go różnie — Bekfark, Bakwark, Bekwarek, Greff B. Balint, Valentin... Urodził się w Rumunii w 1507 roku, zmarł w Padwie, był pochodzenia węgierskiego, konkretnie z Siedmiogrodu.

Dzięki Kochanowskiemu stał się symbolem

poetyckiej liry, choć wcale nie był poetą. Był lutnistą, wirtuozem, zbierającym laury na dworach Europy — także na dworze Zygmunta Augusta. Trudna jest dziś zapewne do prześledzenia jego droga po europejskich dworach — Rzymu, Paryża, Królewca, Wiednia... Ale to, co po nim — oprócz legendy — pozostało, ma swoją wymowę. Jego tzw. tabulatury wydano w Lyonie i Krakowie, najpoważniejsze o nim

dzieło wydano w Budapeszcie... po niemiecku. Pozostał symbolem europejskiej kultury.

Pozostał także symbolem poetyckiej lutni. I do tej „po Bekwarku lutni” przymierza się właściwie każdy poeta. Bowiem poezja poruszająca czule struny ludzkich wzruszeń jest i celem i marzeniem każdego poety. Nawet wtedy, gdy w tym szybko pędzącym świecie słowo poetyckie staje się małe i bezradne. Ale cóż. Galszyński napisał kiedyś: „Poezja to jest złoty szerszeń co kasa — więc się pisze wiersze”.

W tym pozornie żartobliwym wierszu zawarta jest głęboka i bolesna prawda. Poezja rodzi się z jakiegoś bólu, z jakiejś skazy, z jakiejś chorobliwej i nie-normalnej nadwrażliwości. Jest dzieckiem zgrzyoty i rozterki. Powstaje w trzasku wylądowań napięć psychicznych...

„Jakże mocno w południe pachną lipy w parku
I jaki chłód od rzeki, jak jej rzeźwość wabi!
Teraz siano skoszone na łące się grabi.
Na starej ławce leży lutnia po Bekwarku.
Swierszcz zagrał i na lutni drgnęła struna czysta,
Widzę, że padł na ławkę złoty słońca promień.
O lutnio! Nie chcę szezeć ani oszołomien,
Lecz chcę cię dotknąć ręką, niegodny lutnista”.

To z wiersza „Lutnia po Bekwarku” poety polskiego, który nie wytrzymał owych napięć bólu i zgrzyoty i runął z okna hotelu „Hudson” w Nowym Jorku dnia 8 czerwca 1956 roku.

Ale inny polski poeta nie wytrzymał tych napięć tu — spadając z okna warszawskiej kamienicy, 22 stycznia 1964 roku. Ale inna poetka nie wytrzymała tych napięć tu — w czerwcu 1972 roku padając z okna kamienicy

miasta w środku Polski. Bo to nie sprawa miejsca na ziemi, ale skazy, którą tak wielu poetów w sobie nosi, udręki, którą dźwiga.

A jeszcze na dodatek jesteśmy świadomi dewaluacji słowa — zjawiska, które można nazwać śmiercią słów i znaczeń. Wisława Szymborska w pięknym wierszu napisała: „Muzy — nie być bokserem znaczy nie być wcale”. Bowiem słowo poetyckie coraz częściej pozostaje wśród poetów — ważniejsze są igrzyska. „Chleba dosyć, lecz wzrasta popyt na igrzyska”.

A pieśń? Mówimy często, że ona i tak ujdzie cało, ale czy tak jest w istocie? Czasem mówimy również o kryzysie poezji, ale to nieprawda. Poezja poruszająca struny ludzkich wzruszeń nie przechodzi kryzysu. Tomiki sprzedawane są spod lady, choć inne zalegają półki księgarń.

Ale jest inny kryzys.

Głęboko piękny tom wierszy Wisławy Szymborskiej „Wszelki wypadek” wydano w nakładzie tak małym, że dziś książka jest tylko legendą i pozycją bibliograficzną. „Polowanie na cietrzewie” — wzruszający i znakomity tom Stanisława Grochowiaka wydano w nakładzie — już nie małym — ale wprost złośliwie małym.

A sportowe rymowanki Józefa Prutkowskiego trafiają nawet na płyty „Polskich Nagrań” w recytacji znakomitych aktorów. Są to wynaturzenia — zgoda. Ale, czy nie jest to również „signum temporis”?

Lutnia po Bekwarku jest wciąż żywym — od czasów Jana z Czarnolasu — symbolem poetyckiej liry. Symbolem poetyckiego słowa, które jednak tak wiele znaczy. A które znaczy coraz mniej i coraz bardziej staje się tylko martwym symbolem.

WIDOK

Lewym okiem

CZY LEPIEJ CHWYTAĆ SIĘ BRZYTWY?

Świetny tygodnik „Polityka”, którego dowcipną a złośliwą rubryczkę „Coś z życia” tak ostro (a słusznie) zmonitował niedawno na naszych łamach redaktor Grzelak, podał niedawno krótką wiadomość na temat utonięć w naszym kraju. Z wodą nie ma żartów, woda wiele może. Nieważne są liczby; życie jednego człowieka jest równie niepowtarzalne, jak życie tysiąca i, chociaż w skali społeczeństwa liczby stanowią o wielkości społecznej zjawiska, to ludzki wyraz tego zjawiska nie jest w ogóle wymierzalny i od liczb nie zależy.

Pewna część utonięć dotyczy osób nietrzeźwych,

brawurujących w pijanym widzie, wchodzących do zimnego morza lub rzeki nocą, po paru mocnych ciwiarkach, spoceni, przesiąkli upałem karczemnych wnętrz. To jeszcze jeden trybut na rzecz naszego największego narodowego nieszczęścia — alkoholizmu.

Inna część — i to dość duża, bliska jednej trzeciej — dotyczy dzieci do lat czternastu. To już sprawa groźna i odpowiadająca za nią dorośli. Niekoniecznie rodzice, chociaż na koloniach i obozach dozór jest na ogół dostateczny i nieszczęścia zdarzają się naprawdę rzadko. Przeważnie toną dzieci „niezorganizowane”, luzaki, indywidualiści. Oni też brawurują wobec swych rówieśników; to właśnie oni kąpią się, wieszając ubranie na tablicy z groźnym napisem: „kąpiel wzbroniona”. Te tablice likwidują konieczność wyplacania odszkodowań przez kogokolwiek, a także zdejmują odpowiedzialność ze wszystkich w sposób gładki i bezszmerowy. Tak jak w szatni, w restauracji: „Za rzeczy zaginione zakład nie odpowiada”. I już. Niech giną. Natomiast te tablice nie mają żadnego wpływu na statystykę utonięć. Czegoś oprócz tablic brakuje.

No i jest trzecia grupa wypadków — ani dzieci, ani pijanych. Zwyczajnych, porządnym ludzi, tyle, że nie umiejących pływać. Czy taki nigdy nie powinien wchodzić do wody?

Węgry nie mają ani morza, ani jezior (poza osławionym a rzewnie przereklamowanym Balatonem), ani rzek. Węgry zdobywają laury pływackie na olimpiadach, warto na nich popatrzeć w budapeszteńskich basenach. To nie nasza chłapanina w stylu: „Różia, kucnij!”. Tam się pływa, i to z pasją, z uciechą, ze znanstwem. Myślę, że ten mankament w naszym wychowaniu fizycznym nie jest bardzo trudny do usunięcia i nie wymaga czekania latami na pokrycie kraju siecią luksusowych, podgrzewanych ba-

senów. Niech by tylko na przykład w każdym domu wczasowym, położonym nad wodą, w każdym turnusie, zorganizować szkółkę pływacką dla wszystkich. Dla panów z brzuszkami, dla pań po trzydziestce i dla ich dzieci. Dla wszystkich razem. Przez dwa tygodnie — jeśli pogoda dopisze — można już co nie co zlapać z trudnej sztuki pływania. Można się nauczyć przynajmniej zachowania się w wodzie. Takie lekcje mogą być kapitalną zabawą, lepszą od idiotycznych „gier towarzyskich” praktykowanych jeszcze przez niektórych instruktorów k.o., lepszą od morderczego rozkładania członków na słońcu, żeby załpionować po powrocie z urlopu kolorem skóry, lepszą o całe niebo od brydza i telewizora.

Na wszystkich koloniach i obozach młodzieżowych powinna być prowadzona nauka pływania, bądź godziny pływania, jeśli tylko warunki na to pozwalają. Owszem, to wymaga czujnego nadzoru, dobrych instruktorów i ratowników. Mamy takich. Studenci to zrobić może nawet z lepszym społecznym pożytkiem, niż malowanie na białym kamieniu przydrożnych i niż udawanie pracy w fabrykach i na budowach w czasie obowiązkowych turnusów. Zrobią to na tych samych warunkach, to znaczy prawie darmo.

Bardzo energicznie uczymy dzieci zachowania się na jezdnich. To bardzo piękne i wielkie brawa dla milicji, która głównie szkolenie takie prowadzi. Taką samą formą, taką niby-zabawą, można jeszcze nauczyć dzieci pływać, ratować tonących, może nawet prowadzić pojazd mechaniczny. Te sprawy już dziś należą do elementarnych wiadomości człowieka, który bez nich jest analfabeta.

To nie tylko można zrobić. To chyba trzeba!

CWIEK